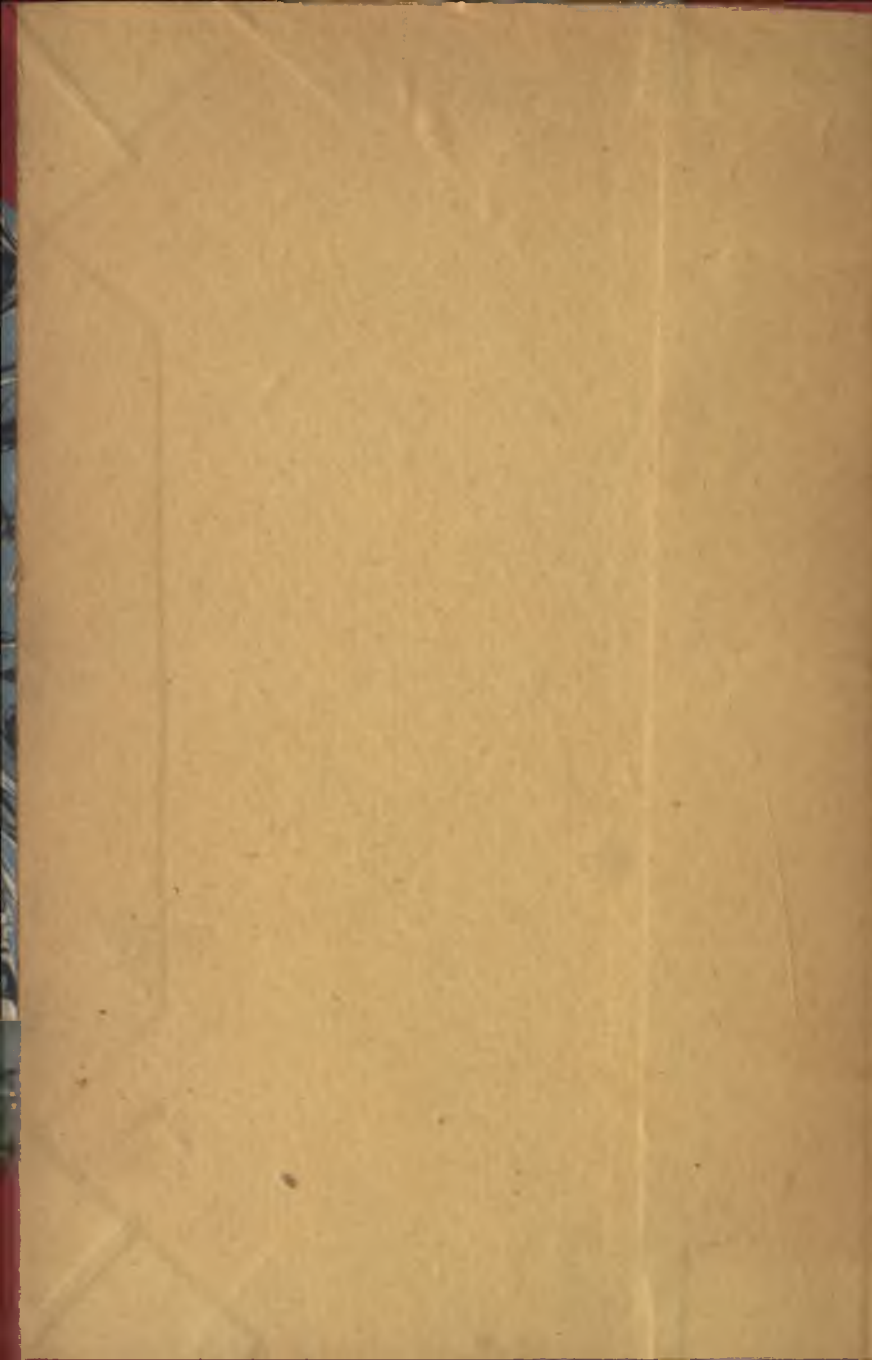
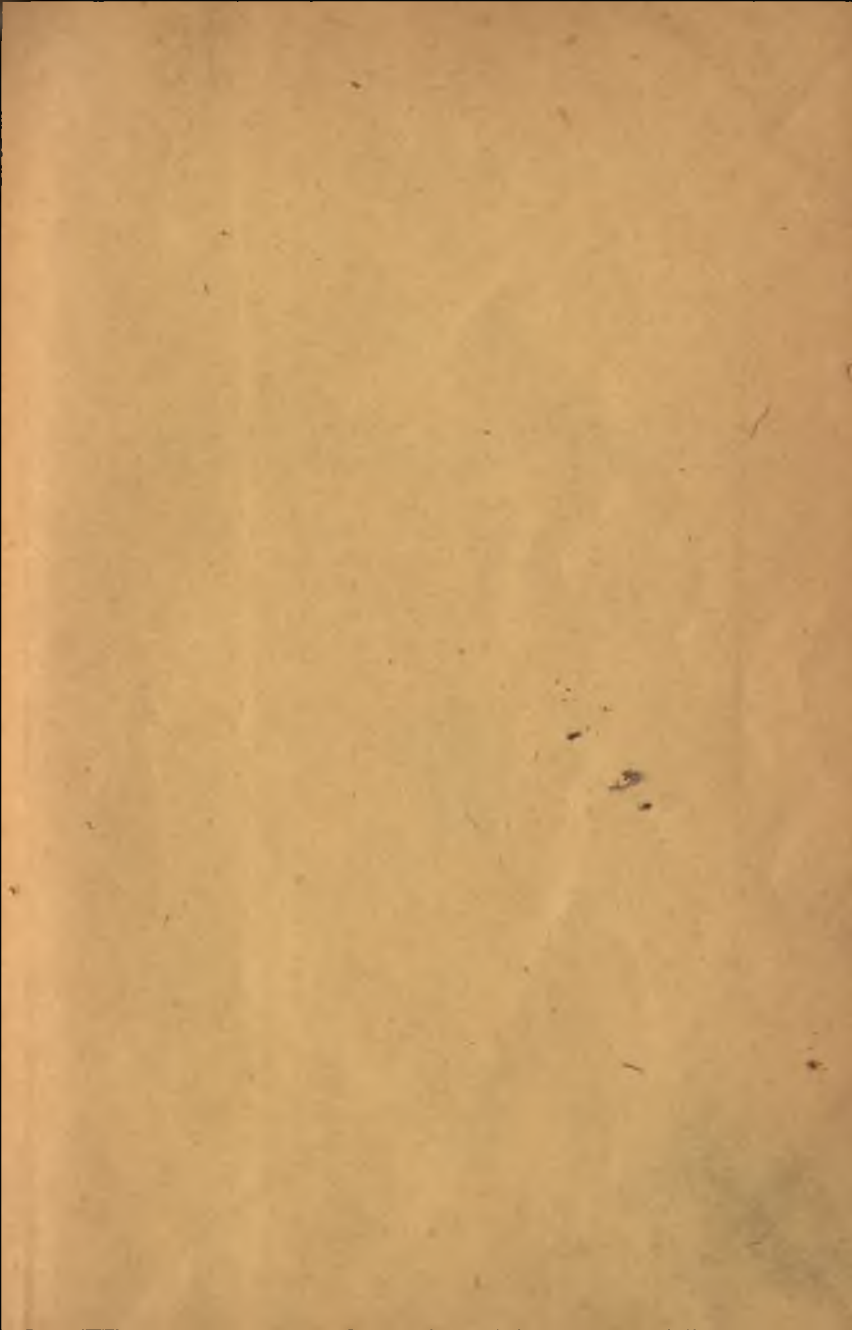


PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Tidauk-Wrocław,
Libermana 36

26909

The image shows the front cover of a book. The spine is a solid dark red color. The main part of the cover is decorated with a marbled paper pattern in shades of blue, black, and cream. A small, rectangular, light-colored paper label is affixed to the top left corner of the cover. The label contains text in Polish, identifying it as part of the 'Pedagogical Provincial Library' in Wrocław. A large, purple number '26909' is stamped on the label, with a red diagonal line striking through it. There are some signs of wear and discoloration on the marbled paper.





TADEUSZ PINI

NASZA
WSPÓŁCZESNA POEZJA



LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

1902

k. 2241/59



26909

884 (09)

Lu

SPIS RZECZY.

	str.
Miłość Ojczyzny w poezyach Asnyka . . .	1
Lud w poezyach Konopnickiej	33
Obrazki miejskie W. Gomułickiego . . .	59
„Polonia Irredenta“ A. Niemojewskiego . . .	83
„Tatry“ Fr. Nowickiego	115

WILDE DZIEŁA

Wydanie drugie, poprawione



Adam Aenyk.



I.

W historyi naszej literatury XIX w. odgrywają nader ważną rolę dwie daty: rok 1830 i 1863.

Powstanie listopadowe z r. 1830/31. podniosło do niebywałych wyżyn patryotyzm narodu i wywołało najświetniejszy okres naszej literatury, w którym błyszczą nazwiska Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego i po którym, jakby pomniki, pozostały takie dzieła, jak: *Dziadów część III*, *Irydion*, *Nieboska Komedia*, *Kordyan*, *Anielli*, *Wacława Dzieje*, *Pieśni Janusza*, *Duch od stepu* a przede wszystkim owa najpiękniejsza i najwspanialsza ozdoba naszej poezyi — *Pan Tadeusz*. A dzieła te nie były tylko pięknymi cackami artystycznymi, pieszczącemi ucho melodyjną formą a nie przynoszącemi nic dla serca i umysłu — forma, choć znakomita, była w nich rzeczą podrzędną, lekceważoną często szatą, pod którą kryły

się serdeczne, gorącą miłością ojczyzny natchnione słowa pociechy dla nieszczęśliwego narodu, słowa, które działały jak balsam kojący na rany zwątpienia i rozpacz i wlewały w serca tysięcy - wiarę w dobroć i miłosierdzie Boże a wraz z nią nadzieję lepszej, świetlanej przyszłości. To też cała Polska, jak długa i szeroka, słuchała z uwielbieniem tej cudownej pieśni wieszczów naszych, a nie mając swych królów i wodzów, im oddała berło królewskie i buławę hetmańską, uznając ich za swych jedynych przewodników duchowych.

Tak więc po r. 1831 staje się poezya jedynym prawie drogowskazem całego życia narodowego. A głosiła ona, że cierpienia Polski są niezasłużone, że Ojczyzna nasza jest wybraną przez Pana oblubienicą, która swą „męką Chrystusową“ zbawić ma całą ludzkość, że nasz upadek polityczny nie jest śmiercią, ale tylko „próbą grobu“, z którego sprawiedliwość Boża podźwignie nas, jeszcze potężniejszych i silniejszych, niż niegdyś. Zapatrywania te były tak powszechne, tak trafiały do przekonania wszystkich, że nawet księża nie wahali się wygłaszać z kazalnicy porównań cierpień narodu naszego z cierpieniami Chrystusa na krzyżu¹⁾.

¹⁾ Por. Kazania ks. H. Kaysiewicza, Paryż 1851.

Zapatorywania te dadzą się zupełnie wytłómaczyć ówczesnem położeniem narodu i po-
etom naszym nie można z tego powodu czynić
żadnych zarzutów. W chwilach upadku i nie-
szczęścia nie czas prawić kazanie moralne,
trzeba raczej myśleć o tem, aby uśmierzyć
ból i zagoić zadaną ranę — czynienie gorz-
kich wymówek byłoby w takiej chwili okru-
cieństwem. Łatwo jednak pojąć, jak zgubne
skutki musiało wywołać zastosowywanie tych
pojęć w życiu praktycznem. Pierwszą konse-
kwencją tego musiała być zupełna bezczyn-
ność, bo jeżeliśmy nic nie zawinili i jeżeli
nasze podźwignięcie się z upadku ma być
tylko zwykłym aktem sprawiedliwości Bożej,
to cóż pozostaje innego, jak wyczekiwać spo-
kojnie chwili, kiedy tej sprawiedliwości sta-
nie się zadość? A przytem nie trzeba pokor-
nie pochylać głowy i myśleć o naprawieniu
błędów przeszłości; błędów nie było przecież
żadnych — można więc hardo wznosić czoło
jako ofiara za grzechy obce, sama bez winy,
i czekać cierpliwie, co przyniesie przyszłość.

Czekano zatem spokojnie, a kiedy ucisk,
który wzrastał coraz bardziej, stawał się nie
do zniesienia, zerwano się w styczniu r. 1863
do rozpaczliwego boju. Powstanie to, nie przy-
gotowane i nie obmyślane należycie, było
aktem nierozważnego bohaterstwa, któremu
przyświecały wspomniane powyżej ideały
i zapatorywania. Z pieśnią wieszczów na ustach,

ze świętem przekonaniem, że ich proroctwa muszą się wkrótce spełnić, rzucała się nasza młodzież z kijami prawie tylko w ręku na bagnety moskiewskie — ale największe bohaterstwo okazało się bezsilnem w obec olbrzymiej przemocy. W r. 1864 powstanie stłumiono zupełnie a kraj, któremu odebrano ostatni cień swobody i skrupawało kajdanami najstraszliwszej niewoli, „zapadł w próżnię zwątpienia“ i rozpaczy.

Rozpacz ta była łatwo zrozumiała, bo oprócz wszystkich cierpień i mąk, jakie za sobą prowadzi niewola, przyczyniały się do niej gorsze jeszcze cierpienia moralne. Wraz z upadkiem powstania wygasnąć musiała także wiara w dotychczasowe ideały, bo wszakże te wszystkie przekonania, które uważano za święte, któremi karmiono się, jak manną niebieską, i pocieszano w niedoli okazały się złudą tylko i niczem więcej. W cóż zatem wierzyć, gdzie szukać prawdy?

Wtedy zaczęły najpierw rzadko, a potem coraz częściej i coraz powszechniej, odzywać się głosy, że trzeba zerwać z tym snem wśród złotych marzeń, natchnionych poezją, że trzeba się ocknąć i żyć życiem rzeczywistym, ciężkim, przykrem i mozolnym, ale prowadzącem do celu. Praca systematyczna, cicha praca nad sobą — oto jedyny cel na teraz i jedyna droga do odrodzenia.

O! nie szablą i nie tonem
Tobie walczyć, hufcu młody!
Ale z czołem pochylonem
Nad mądrości ślęczyć kartą,
Sercem przeczuć prąd właściwy
I z prastarej ojców niwy
To ukochać, czem żyć warto!

Bo nie żadnym błyskiem stali,
Nie natchnionych tonów mocą,
Ludy czoła swe ozłocą:
Tylko pracą i mądrością,
Przyszłość serca im zapali!

Tak wołał wówczas młody poeta, Karol Świdziński, tak myśleć zaczęła większość społeczeństwa. Zabrano się więc do pracy na każdym polu, zaczęto „ślęczyć nad kartą mądrości“ i w krótkim czasie zmieniono z gruntu zasady, na których podstawie rozwijała się nasza literatura. Rozpoczął się gorączkowy ruch na polu nauk ścisłych i historycznych, literatura naukowa zaczęła się doskonalić, kwitnąć i wydawać piękne plony.

A poezya? Ta nie zdołała już zachować swego stanowiska, jakie zajmowała po r. 1831. Jej przecucia i prorocstwa musiały ustąpić zdrowemu, chłodnemu rozsądkowi, a nie chcąc zejść do roli pięknej zabawki, musiała obrać nowe tory, pogodzić się z nowem położeniem i zastosować do niego. Jaką drogą i w jaki sposób to się stało, jakie ideały zabłyśły teraz na jej niwie, poznamy najlepiej przypa-

trując się największemu z naszych współczesnych poetów, Adamowi Asnykowi.

II.

Wiadomość o wybuchu powstania styczniowego w r. 1863 obiegła lotem błyskawicy całą Europę i doszła do starych murów Heidelberskiego uniwersytetu. Pośród znajdującej tu garstki Polaków odznaczał się przedewszystkiem dwudziestopięcioletni młodzieniec, zawsze smutny, usposobiony marzycielsko, zamknięty w sobie i unikający towarzystwa. Ale kiedy nadeszła wieść o powstaniu w Polsce, zaszła w usposobieniu wątłego studenta wybitna zmiana: ożywił się, na bladą, zwykle posępną twarz wystąpiły rumieńce zapału, od kolegów już nie stronił, owszem sam szukał ich towarzystwa i prowadził z nimi tajemnicze narady. W krótkce potem gromadka tych młodych ludzi opuściła Heidelberg i podążyła w stronę Polski.

Tym młodzieńcem, który jej przewodził, był Adam Asnyk.

Po studyach w Warszawie, Wrocławiu i Paryżu przybył on do Heidelbergu, aby na tym prastarym uniwersytecie niemieckim słuchać wykładów historyi i ekonomii politycznej; ale kiedy dowiedział się o wypadkach w Królestwie, kiedy Ojczyźnie potrzeba było odważnych serc i dzielnych dłoni, on nie zawahał się ani przez chwilę, i choć wąły, sła-

bowity pospieszył na pole walki, aby Ojczyźnie ofiarować wszystko, co posiadał i czem rozporządzał: swój rozum, swą energię i swoje życie na niepodzielną własność. A nie małą musiała być wartość tej ofiary, skoro młodego chłopaka zaszczycono godnością członka Rządu narodowego, który całem powstaniem kierował. Przez półtora roku pełnił Asnyk powierzone sobie czynności z całym zapałem i poświęceniem, jakie tylko głęboka wiara w świętość sprawy i konieczność jej dobrego powodzenia dać może — ale rzeczywistość zadała wkrótce kłam tym nadziejom i oczekiwaniom: powstanie upadło a w Ojczyźnie zapanowały sroższe jeszcze prześladowania.

Asnykowi, jak wszystkim wogóle członkom Rządu narodowego, groziło straszne niebezpieczeństwo: za głowę jego była wyznaczona nagroda, a w razie schwytania oczekiwano go śmierć. Cudem prawie zdołał uniknąć tego losu — o chłodzie i głodzie, kryjąc się po strychach i piwnicach, wymykał się z domu do domu, uchodząc przed ścigającymi go zbirami, aż wreszcie udało mu się wydostać szczęśliwie za granicę, gdzie go oczekiwały lata smutnej tułaczki.

Zwiedziwszy Szwajcaryę, Francję i Anglię udał się Asnyk na dłuższy pobyt do Włoch, których łagodny klimat mógł wywrzeć zbawienny wpływ na sterane i podupadłe jego zdrowie. Tu, w okolicy Neapolu, po-

wstają jego pierwsze wiersze przeznaczone do druku a w nich objawia się rozpaczliwy stan jego umysłu.

Zawiedziony w swych przekonaniach o zwycięstwie dobrej sprawy, o konieczności prędkiego odwalenia tego ciężkiego kamienia grobowego, który przygniata ujarzmioną Ojczyznę, błądzi młody poeta, pozbawiony „ojczystego brzegu“ „przez włoskie wille, nad morzem wiszące“ i „rzuca skargi w gwieździste przestworza“ nie tracąc jednak nadziei, że kiedyś nastanie jeszcze „nowe świtanie“ dla Polski. Najczęściej jednak ogarnia go rozpacz, od której może go obronić chyba tylko wino, przynoszące z sobą chwilowe zapomnienie. Dzban wina pozwala zapomnieć o rzeczywistości i śnić znowu tak, jak się śniło w młodości:

„ Po kwiatkach sączy się zdrój
„ A wietrzyk roznosi wonie;
„ Pierś ogniem szlachetnym płonie, —
„ Chcę wznowić rycerski bój —
„ W dobranym braci orszaku
„ Ochoczo biegnę na szturm,
„ I słyszę w odgłosie surm:
„ „Zwycięstwo przy białym ptaku!““.

Mara nieszczęśliwej Ojczyzny ściga poetę wszędzie, nie dozwala mu się nawet modlić. Obraz takiej chwili mamy w prześlicznym poemaciku pt. „Asceta“. Asnyk przedstawia w nim człowieka, który chce całą du-

sza poświęcić się wyłącznie Bogu, umartwie-
niami dojść do tego, aby Go „przeniknąć do-
kładnie“, a zerwać wszystkie węzły, łączące
go „z ziemską ojczyzną“. Posłuchajmy jego
modlitwy:

W Tobie, o Panie, zamknąłem życie,
Ku Tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkimi..
I wciąż katuję wzgardzone ciało,
Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą
A zostać obcym tej ziemi.

Tyle lat klęczę tutaj w pokorze
I wzrok zatapiam w jasności morze,
Za którą mam Cię pożądać..
Nie dość, że Ciebie myśl ma odgadnie:
Ja Cię przeniknąć pragnę dokładnie,
Oczyrna ducha oglądać!

Więc zapatrzony w wieczyste blaski,
Spragniony widzeń natchnionych łaski,
Krwawemi świecę stygmaty
I, wylatując za ziemską glinę,
W nieskończoności pożądań ginę,
W Twoje wdzierając się światy.

Lecz próżno miłość świętą rozpałam,
Próżno się z więzów ciała wyzwalam:
Nie mogę jeszcze, nie mogę
Przedrzeć ostatniej mroków zasłony
I przez serafów jasných legiony
Ostatnią otworzyć drogę...

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
Na duszy mojej smutne zwierciadło,

By się tam zawrzeć jak w grobie ;
I nie leżałem w prochu zdrętwiały .
Przed majestatem straszliwej chwały.
Widząc Cię w ogniach przy sobie.

Czasami tylko, bolem targany,
Duch mój porzuca cielska łachmany
W nowe przedzierzga się życie ;
I do Twych niebios biegnie promienny
W apoteozie rozlać się sennej —
A ja umieram w zachwycie...

Ale te niebiańskie zachwyty nie trwają długo, bo zawsze jakaś myśl ziemską wkrada się do rozmarzonego umysłu ascety, a wtedy rajskie widzenie pryska i znowu pozostaje tylko zimna rzeczywistość. Posłuchajmy jak, nam poeta opisuje jedno takie widzenie :

Czas się wiekowej wypełnił zgrozy,
I na gwieździste wstąpił już wozy
Żelaznem berłem rządzący.
Ten, co go nie zna nawet z imienia
Świat, choć pokazał twarz Swą z płomienia
A w ręku Swojem sierp lśniący

Idzie na żniwo ; przed nim anioły
Równają ziemskie góry i doły
Pługami ostatnich zniszczeń,
I, przewracając glebę cmentarną,
Zbierają ważne i czyste ziarno
W omłocie boskich oczyszczeń.

Duchy brylantem zasług bogate
Wdziewają świetną zwycięstwa szatę,

W nadziemskiej stają ozdobie;
Nawet skalane krwią ludzką zbójce,
Przeszedłszy męki Twojej ogrójce,
Wznoszą się czyste ku Tobie.

Ale tutaj następuje zwrot w widzeniu ascety: myśl, chociaż wbrew jego woli, zbyt ściśle związana jest z życiem ziemskim, żeby mogła zupełnie zapomnieć o jego istnieniu, więc właśnie w chwili tego widzenia przyszłej szczęśliwości świata nasuwa się mu pytanie, co będzie wówczas z jego biedną Ojczyzną?

Jacyż to biedni i odtrąceni
Idą w czerwone morze płomieni
Okryci hańby swej piętnem?
Ach! to ostatni z mojego ludu
Co próżno w jasnych zmartwychwstań cudu
Oczekiwaniu stał smętnem.

Bez płodne męki dostał w udziale
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale
I dziś go czeka zagłada!
Takąż robotnik Twój bierze płacę?

.....
Gdzie jesteś, Panie! z oczu Cię tracę —
I niebo Twoje przepada!

Ale możnaby pomyśleć, że ten motyw jest w „Ascecie” tylko przypadkowym, że jest poprostu artystycznym środkiem wywołania większego wrażenia. Takiemu pojmowaniu rzeczy zaprzecza jednak fakt, że we

wszystkich innych utworach Asnyka, pisanych w owym czasie, panuje on prawie wyłącznie, że myśl o nieszczęściach Ojczyzny góruje w nich ponad wszystkimi innemi, a wyraża się z taką prostotą, taką szczerością, taki w niej brak wszelkiego gonienia za efektem, że podejrzenie podobne odsuwa się szybko i uchylając czoła przed wielkim poetą, odsłaniającym przed nami tak otwarcie stan swojej duszy, przeprasza się go za nie z mimowolną pokorą i zawstydzeniem. Bo oto przypatrzmy się, jak on rzewnie i szczerze, bez wszelkiej efektowności, modli się w „Prośbie“ do swego anioła opiekuńczego:

O, mój aniele, ty rękę

Daj!

Przez łąki i mękę

Przez ciemny kraj,

Do jasnych źródeł ty mię doprowadź —

Racz się zlitować!

Serce me zwiędło jak marny

Liść;

Wśród nocy czarnej

Nie wiem, gdzie iść.

I po przepaściach muszę nocować —

Więc ty mię prowadź!

Czuje się tu od razu, że ta „noc czarna“ i to „nocowanie po przepaściach“ mają znaczenie symboliczne, że są tylko obrazem nie pewności i rozpacz — więc następcza się pytanie, gdzie jej źródło?

Oto co na to odpowiada poeta:

To, com ukochał, com tyle
Czciał,

Zdeptane w pyłe
Padło bez sił;
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stałem w trwodze

Widziałem zbrodni zwycięzki
Szał

Widziałem klęski
Duchów i ciał,
Więc obłąkany boleścią chodzę
We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz, w co wierzyć
Mam,

Jak dzień mój przeżyć
W ciemności — sam?

Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie:
Więc ty zstąp do mnie!

Teraz dopiero rozumiemy, o co chodzi
Asnykowi: do rozpaczyny doprowadza go upadek
sprawy narodowej i brak wiary w te wszyst-
kie ideały, które wiodły do świętego boju,
poetę, przekonanego o ich nieomyślności. On „tak
ukochał i tyle czciał“ te uosobienia spra-
wiedliwości bożej i bożego miłosierdzia, a te-
raz, kiedy ujrzał „zwycięzki szal“ zbrodni,
kiedy zobaczył już nie fizyczne, ale i moralne
trupy pośród społeczeństwa, któremu się po-
święcił, ogarnęła go niemoc duchowa i od-
biegła wiara w dotychczasowe ideały, a miej-



sce ich zajęła straszliwa — pustka. Ale w jaki sposób ma go ów anioł opiekuńczy wybawić z tej choroby duchowej? Oto niech mu tylko powie, że jego pojęcia są błędne, niech go zapewni, że są jeszcze jakieś ideały na świecie, że brutalna przemoc nie zawsze będzie panowała.

Pokaż mi tryumf w przyszłości
Dniach

Tryumf miłości
Kupiony w łzach
I ludu mego zwycięstwo jasne
Pokaż, nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących
Zórz

Zmartwychwstających
Królestwo dusz,
A dbać nie będę o szczęście własne —
Spokojny zasnę!

A więc do spokoju potrzeba poecie przekonania o istnieniu wyższej, rządzącej światem sprawiedliwości, a potrzeba mu go przedewszystkiem dlatego, że wtedy będzie także przekonany o przyszłym „jasnym zwycięstwie“ swego ludu, swej Ojczyzny!

Z takimi uczuciami powracał młody poeta po długich latach tułaczki do ojczyzny. Wprawdzie nie było mu wolno powitać znowu tych stron rodzinnych, w których przepędził swą młodość i z którymi wiązało go tyle wspo-

mnień, ale bądź co bądź czekały go w Galicyi swojskie twarze rodaków i okolice pełne wspomnień lepszej przeszłości, przesiąknię krwią dawnych bohaterów.

A jednak myliłby się bardzo, ktoby myślał, że ta zmiana położenia wywołała radość w sercu poety, że nastroi jego smętną dotychczas lutnię na jakieś swobodniejsze i weselsze tony. Owszem, stało się coś wręcz przeciwnego: Asnyk, który dotychczas skarżył się niebiosom że „pozbawiły go ojczystego brzegu“, ale wierzył święcie w ludzi i w świetlaną przyszłość ludzkości, teraz nie pozbywa się dawnego żalu a traci nadto tę wiarę do tego stopnia, że ogarnia go zniechęcenie do świata i że jasną dotychczas dla uiego przyszłość Ojczyzny zakrywają w jego myśli jakieś straszne, nic dobrego nie wrózące chmury.

Musiał go zatem spotkać jakiś bolesny zawód — ale jaki? Czy dotyczył on może stosunków osobistych? Czy młody autor znalazł u ziomeków za mało zapasu dla siebie i tem czuł się urażony? czy spodziewał się hołdów, zaszczytów i intratnych posad, a nie otrzymawszy ich uczuł żółć w ustach i poczuł nią płuć na społeczeństwo, które go nie umiało należycie ocenić? Nie byłoby to ani niepodobnem, ani nawet rzadkiem zjawiskiem — ale Asnyk zbyt był szlachetnym, zbyt wielkim, żeby już nie gniewać się z tego powo-

du, ale nawet myśleć o sobie wyłącznie wtedy, kiedy chodziło o miliony, o cały naród. Powód leżał w czemś zupełnie innem: w obrazie, jaki przedstawił się poecie po powrocie do kraju. On mocując się z rozpaczliwymi myślami na obczyźnie był przekonany, że cały naród nosi na sobie takie samo piętno rozpacz, że oddany jest jedynie i wyłącznie myśli o świeżej stracie i o tem, jak tę stratę w przyszłości powetować, że wszystko i wszyscy przejęci są czcią i miłością dla tych wzniosłych ideałów, dla których tak niedawno jeszcze lała się krew jego i jego towarzyszy. Lecz niech on sam wypowie swe uczucia:

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą,
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej, dlaczego tam lecą,
I że przyjmując każdy ból i ranę
W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

Lecz gdym zobaczył, skąd te wszystkie czyny
Swoj tajemniczy początek wywodzą,
Skąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny,
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą,
I gdy wnikając w serce zranionych ciemność
Za każdym bolem znalazłem niekzemność,

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posepnej.
I przeklinałem tę rzeszę żałobną
I pogardałem nimi — sam występny..

I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Żem nie mógł kochać jak dawniej, za młodu.
(„Pod stopy krzyża“)

A więc ten zawód na tem polega, ten żal stąd pochodzi, że nie mógł już kochać ludzi tak, jak ich kochał za młodu, a nie mógł dlatego, że „w ciemności ich zranionych serc“ znalazł — nikczemność, wywołującą w nim raczej pogardę, niż miłość braterską, A jednak, chociaż tak było rzeczywiście, poeta udawał sam przed sobą, mówiąc, że dawniejsza miłość przerodziła się w nim w nienawiść, bo właśnie ta cała walka uczuć, całe to wdburzenie było tylko wynikiem głębokiej przechodzącej zwykłą miarę, miłości dla ziomków. Gdyby mu bowiem byli obojętni, to czyż mogłoby go tak boleć, że ci, którzy w jego wyobraźni byli bohaterami, skarłowacieli do tego stopnia, iż tarzają się w błocie? czy nie byłby raczej pogodził się rychło z takim stanem rzeczy i myślał tylko o tem, aby w tej walce o dobre i smaczne kaski nie dostać najgorszego? Jeżeli go więc martwił stan społeczeństwa, którego był członkiem, to tylko dlatego, że życzył mu jak najlepiej i że pragnął dla niego lepszej, „świetlanej“ przyszłości.

Najbardziej zaś dotykał go i bolał brak patriotyzmu:

Miłość Ojczyzny?... Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale albo brzmi szaleństwem;
Nasi mężowie śpiąc na łożu miękkim
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Za to, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę własną krwią obłany.
Miłość ojczyzny! To przedmiot zużyty
I pogrzebany z poległym rycerstwem,
Starannie w trumnie gwoździami przybity
I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem...
(„Poeci do Publiczności“).

Jaka to straszna, gryząca ironia! jak
silne musiało być to uczucie, które zmusiło
poetę do szydzenia z tego, co uważał za naj-
większą świętość swoją, co było jedynym
motorem jego czynów! Ale jeżeli w ten spo-
sób zapatrywał się na społeczeństwo, to nie
dziw, że dalej tak rozumuje:

Miłość ojczyzny!.. Staroświeckie tema
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem,
Zawszad mu krzyczą wielkie anatema
Pokryte słodkim świętoszków lamentem;
Więc żeby wznawiać rzeczy, których niema,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem
I z Don Kiszotem błądzić po manowcach
By kruszyć kopie na spłoszonych owcach.

Cóż więc pozostaje wzniosłego i wiel-
kiego społeczeństwu?

....Sława? tej nie mamy,
Wszyscy mniej więcej jesteśmy niestawni

I nosim znaczne na honorze plamy.
Pod każdym względem zawsze niepoprawni
O czystą wielkość zwykle mało dbamy,
I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,,
Gdy się stroimy w kawałek łachmanu
Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Cóż zaś ma czynić poeta, który znalazł się pośród takiego społeczeństwa? Chyba tylko zastosować się do niego.

Potrzeba śmiać się więc zarówno z wami
I razem z wami nad przepaścią płasć,
Potrzeba kryć się ze swojemi łzami
I z własnych uczuć głośno się natrząsać,
Karmić się codzien skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kasać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
Potrzeba śmiać się. śmiać się i umierać...

Taki smutny program nakreślił sobie Asnyk z rozpaczliwą ironią wkrótce po przybyciu do Galicyi. Ale nie potrafił zastosować się do niego, nie potrafił nigdy „poniewierać wszystkiego, co szlachetne“, nie potrafił „karmić się plotkami“ i „kasać przechodniów“ — jedno tylko wypełnił konsekwentnie: krył się ze łzami, które go dławiliy na widok wad społeczeństwa i aby ich nie zdradzić, pokrywał je nienaturalnym, gorzkim uśmiechem ironii.

Stąd to pochodzi ten dziwny, niezwykley ton poezyi Asnyka, podobny do owego homerycznego „uśmiechu z poza łez“ a wywie-

rający tak dziwny urok na czytelnika. Poza formą żartu lub dowcipu kryje się tu tyle bólu, tyle tkliwego uczucia, że ten śmiech zmienia się w duszy czytelnika w jakieś gwałtowne łkanie i przypomina zdanie poety, wypowiedziane w chwili większej szczerości:

„Gdy za szczęściem utraconem płaczę,
„To za czyjem, nie wiem dobrze sam.

Bo weźmy tylko następujący wierszyk pt. „Dwa spotkania“.

Spotkałem go w młodości dniach —
W objęcia moje upadł on
I rzekł mi: „Bracie, w wspólnych snach
„Znajdziem zwycięstwo albo zgon“.

Spotkałem go po latach wielu,
Spotkałem na środku rynku,
W objęcia padł: „Ach przyjacielu“
Zawołał „chodźmy do szynku!“

Czyż mógł na zimno żartować z takiej zmiany zapatrywań ten, kto sam chciał życie swe położyć, aby tylko te „wspólne sny“ urzeczywistnić? Wszak widzieliśmy, że właśnie ta zmiana w zapatrywaniach, ta obojętność dla dawnych ideałów, nad które przenosi się — dosłownie lub przenośnie — „szynk“, była źródłem największych zmartwień poety więc i ten żart jest chyba przymuszonym tylko i sztucznym.

To stanowisko, jakie Asnyk zajął wobec ogółu, sprawia, że w jego poezjach miłość

ojczyzny objawia się w niezwykle i niepowszedni sposób. Nie wybucha ona lawą płomiennego uczucia, jak u Mickiewicza lub Krasińskiego, nie szuka ujścia w patetycznych skargach i wołaniu do Stwórcy o sprawiedliwość dla nas i o zemstę na wrogów, jak u Ujejskiego, lecz cicha, zamknięta w sobie, onieśmiewiona obojętnością rodaków boleje nad nimi, czując, że cały grom nieszczęścia polega właśnie na tej ich obojętności i moralnym upadku. Jest zaś w tem uczuciu taka subtelność, taki brak wszelkiego pozowania lub szukania taniego efektu, że w oczach mniej uważnych czytelników mogłoby uchodzić za obojętność.

Ale okres który starałem się właśnie scharakteryzować, był tylko przejściowym: poeta poznał, że w uczuciu tem trwać nie można, że trzeba pogodzić się z przykrą rzeczywistością, i nie stać ustawicznie w miejscu, ale wskazać im cel tego życia i środki, które do jego urzeczywistnienia prowadzą.

„Trzeba z żywymi naprzód iść

„Po życie sięgać nowe ...

Temu celowi poświęcił się cały i pozostał mu wierny do końca.

To pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy nie mogło być jednak od razu zupełnem i bezwzględnem. Żal do społeczeństwa

brzmi jeszcze długo, prawie aż do śmierci poety, w jego poezjach, pomimo, że Asnyk w zasadzie już się z nim pogodził. Oto np. co mówi w jednym ze swych wierszy: (Do....)

Lecz nim utoniem w niepamięci fali
Przed okiem ludzi skryci w obłok czarny,
Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali,
Że w niekczemności pędząc żywot mar-
[ny,
Płazowe szczęście, nie wielkość, obrali,
Niech ich ród szczęsny, cierpliwy i karny
Z pokorą znosi losów wyrok twardy,
My im zapłaćmy jałmużną pogardy,...

Dopiero dłuższy pobyt w Tatrach przyniósł poecie zupełne ukojenie. Te olbrzymie górskie, które go otaczały, stawiały mu jasno przed oczy niespożytą potęgę przyrody, wobec której jego własne cierpienia zmalały do zera; bo te Giewonty i Łomnice mówiły mu już nawet nie o jednym, jedynym wieku i nie o jednym tylko narodzie, ale przywodziły na myśl całą wieczność i całą ludzkość. Przekonał się wtedy, że „prości ludzie“ zawdzięczają swój spokój i głębokie a bezkrytyczne przywiązanie do ziemi ojczystej temu właśnie, iż „zawarli z nią ciche przymierze“, które uczy kochać coraz to szersze i większe warstwy, aż obejmie całą ludzkość. Więc tak się odbywa do swej ziemi ojczystej:

„.. Kto ukochał ciebie sercem swoim
I w twe objęcia chyli się z tęsknotą.

Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
Spojrzeniem matki i matki pieczęcią
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do Ciebie przybędzie złamany,
Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,
Ty dobrotliwie zagoisz mu rany
I spędzisz z duszy pałący ból życia,
I cierpiącego pojednasz człowieka
Z tem, co już przeżył i z tem, co go czeka

I wszystkim, którzy do ciebie się garną
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo;
Młodzieńcom dajesz moc serca ofiarną,
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą,
Zadowolenie, co twarz krasi bladą,
I uśmiech, z jakim do grobu się kładą.

Bo ty, o matko, masz dla swoich dzieci
Zawsze miłością promienne oblicze,
I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,
Kiedy zamykasz miłosierne łono
Nad garścią prochów — prochom powróconą.

(„W Tatrach“ — „Wstęp“)

Związek ten bliższego poznania się
z przyrodą z poglądem Asnyka na świat wy-
stępuje jeszcze widoczniej w prześlicznym
utworze, w którym opisał noc, spędzoną pod
górami „Wysoką“. Wtedy pod wpływem po-
tężnego otoczenia duch poety

„..... wstępował na gwiazdziste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile

I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży.
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywym.
Poruszajacem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednym łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przestrzeniach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

Pogodził się zatem poeta z „nieodmiennym wyrokiem“, który głosił, że „żaden cud nie wróci do istnienia przeżytych kształtów“, że „zniknione mary“ dawnych lat minęły już bezpowrotnie — a jednak nie chciał i nie mógł się wyprzeć tych wszystkich ideałów, które nie miały już wprawdzie żywotności, ale które zawsze mu były drogie. Starał się więc pogodzić jedno z drugim: czcić nadal dawne ideały a równocześnie iść z postępem czasu i do niego się zastosować. W lepszą przyszłość narodu nie zwątpił nigdy, a za drogę prowadzącą do zbawienia, uważał hart woli, poświęcenie się dla drugich i niezmordowaną pracę.

Rozumu ! niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości !
A Bóg nam stanąć pozwoli,
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.

W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha,
Co się poświęca;
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha,
Pracą bez wieńca.

Wierzył zaś święcie, że jeżeli nie obecne, to następne pokolenie spełni te warunki, odpowie godnie swym obowiązkom, a wtedy i nasza Ojczyzna podniesie się z chwilowego upadku. Myśl tę wyraził w precudownym sonecie, jednym z najpiękniejszych, jakie literatura nasza kiedykolwiek wydała, w którym w ten sposób przemawia do Polski:

Odkąd znów padło w proch twe czoło dumne,
Na synów twoich dziwna zesła trwoga:
Ich wzrok bezmyślny widzi tylko trumnę.
Na której wsparła się zwycięzcy noga.

Oni nie wiedzą, że ty prochom dziecku
Dziś posłuchanie dajesz tam, u Boga,
I śmiać narzekać, o najlepsza z matek!
Żeś porzuciła ich na pastwę wroga.

Lecz ty wymową cichą, apostołską,
Ucz ludy zginać przed tobą kolana,
I bądź w błękitach tą harfą eolską,

Po której wichry głoszą imię Pana,
Jasnym sztandarem duchów bądź. o Polsko!
Póki nie wstaniesz z prochu nieskalana.

Więc ze zniechęceniem do świata, z żalem do skarlowiącego społeczeństwa łączy się u Asnyka niezachwiana wiara w lepszą przyszłość Ojczyzny! Wygląda to pozornie na niedającą się pogodzić sprzeczność, bo jakże mają podźwignąć Polskę ci którzy nie umieją ocenić należycie tego, co utracili, w których piersiach wygasł już święty zapal dla ideałów? Ale tak nie jest — Asnyk nie budował swej nadziei na tem, co jest obecnie, lecz na tem, co będzie, a wierzył, że będzie lepiej. Wiare tę wyraził w wierszyku, który jest programem działalności narodowej i najlepszym wyrazem wszystkich zapatrywań Asnyka:

Miejmy nadzieję!.. nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spróchniały w wątły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy nadzieję!.. nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń,
I przechowuje oręż i przyłbicę...

Miejmy odwagę!.. nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska,

Lecz tę. co z wiecznie podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy odwagę!.. nie tę tchnącą szaleń,
Która na oślep leci bez oręża,
Lecz tę. co sama niezdobytym wałem
Przeciwnie losy stałością zwycięża.

Miejmy pogardę dla wrzekomej sławy
I dla bezprawia potęgi zwodniczej,
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwa-
[wy

I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy.

Miejmy pogardę dla pychy zwyciężkiej
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy,
Ale nie wielbmy poniesionej klęski
I ze słabości swojej się nie szczyćmy.

Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić...

Lecz nie przestańmy cześć świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość —
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.

Ciekawą jest różnica, zachodząca pomiędzy tym programem „młodego“ Asnyka, a spuścizną, pozostawioną nam przez „starych“ wieszczów, Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Wszystkie ich ideały zatrzymuje Asnyk nienaruszone i niezmienione, odrzuca tylko to, co było przypadkową naleciałością, wynikłą z ówczesnych stosunków. Każe więc

porzucić ten ustawiczny żal i lament, który tak często wydobywał się z potężnych harf jego wielkich poprzedników, jako „rzecz niewieścią“ i niegodną mężów, którzy w milczeniu powinni się sposobić do walki. Ta właśnie większa męskość i odrzucenie wiary w „łatwy cud“, a natomiast żądanie wiary w siebie samych, jest główną cechą ideałów Asnyka; — z pomiędzy wielkich naszych poetów zbliża się do niego w swych pojęciach jeden tylko Krasiński wtedy, kiedy zbawienie narodu upatruje w jego „dobrej woli“.

Te słowa Asnyka powinny być złotemi głoskami wypisane w sercu każdego Polaka, a przede wszystkim każdego z młodych, do których ten serdeczny poeta przemawia w następujący sposób:

Każda epoka ma własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depeccie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!



L U D
W POEZYACH M. KONOPNICKIEJ.

LUD

W. MCKAYACH M. KNOXICKLEY



Marya Konopnicka.



Gdybyśmy chcieli wymienić wszystkich naszych poetów, którzy kiedykolwiek zajmowali się w swych utworach ludem wiejskim, musielibyśmy sięgnąć czasów bardzo dawnych, bo jeszcze XV. w. i przytoczyć nazwiskomal że nie tyle właśnie, ile ich dzieje naszej literatury w sobie mieszczą.

Wystarczy przypomnieć długi szereg sielankopisarzy, od Szymonowicza aż do Brodzińskiego, którzy z natury rzeczy ludem musieli się zajmować, aby uzasadnić zdanie powyższe; a przytem trzeba pamiętać, że i u takich pisarzy, jak Rej, Kochanowski, Klonowicz, wzmianki o wieśniakach, nawet obszerniejsze nieco, nie należą do wyjątków. Ale aż do końca XVIII. w. wzmianki te są suche, pobieżne i bezduszne; wspominało o ludzie albo dla dokładności obrazu, albo dla zadośćuczynienia modzie, która na wzór starożytnych sielankopisarzy kazała poetom stroić się w barwną sukmanę, pod którą nie umiano jeszcze dojrzeć i zrozumieć serca chłopskiego. Stosunki społeczne tłómaczą nam ten fakt zu-

pełnie jasno: szlachta zbyt była zajęta własnymi sprawami, aby zwracać baczniejszą uwagę na stan pogardzany, uważany w Europie za rodzaj inwentarza gospodarczego, którego pożyteczności i potrzebie nikt nie myślał przeczyć, ale w którego myśli i uczucia bliżej wglądać nikt nie uważał za stosowne.

Dopiero kiedy przy schyłku XVIII. w. zaczęły się szerzyć hasła, idące z Zachodu, o równości i braterstwie wszystkich stanów, kiedy u nas, po części nawet niezależnie od tych haseł, zaczęto pilniej zajmować się kwestyą włościańską, którą w konstytucyi 3-go maja tak pięknie — w teoryi — załatwiono, wtedy i literatura piękna zwróciła pilniejszą uwagę na lekceważoną i pomijaną dotychczas olbrzymią warstwę narodu: jeszcze przed ogłoszeniem konstytucyi majowej podnosi Niemcewicz w „Powrocie pośła” sprawę uwłaszczenia chłopów. Prawie równocześnie zaś zaczyna się w całej Europie gwałtowny zwrot do poezyi ludowej, która miała być najlepszem lekarstwem na martwość pseudo-klasycznej literatury. Jak przedtem wszyscy brali sobie za wzór i za wyłączny temat do poezyi życie dworskie, tak teraz staje się modą badanie zwyczajów ludowych i spisywanie legend i poezyi, które, nieskażone żadnymi martwymi przepisami, od wieków rozwijały się swobodnie pod niskimi strzechami kmiotków.

Ruch ten ożywia wprawdzie naszą poezję i sprowadza ją na nowe zupełnie tory, ale nie przyczynia się wiele do wprowadzenia ludu w całą jego prawdę do zaczarowanej krainy poezyi. Romantycy wyzyskiwali skwapliwie materyał, którego im pieśni i podania wiejskie dostarczały, ale przejęte stąd motywy przenosili w sferę zupełnie inną, nie mając wielkiej ochoty do zajmowania się gminnymi Maćkami i Kaśkami Żaden z naszych wielkich poetów nie pozostawił nam ani jednego typu chłopskiego, choć każdy z nich o sprawę ludu potraçał (Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, Słowacki w drobnych poezyach i „Złotej Czasce“, Krasiński w „Śnie“); jedyny może wyjątek stanowi Garczyński, który pierwszy przedstawił w „Wacławie“ lud z zupełnym realizmem takim, jakim jest. W epoce romantyzmu można zatem mówić tylko o „poezyi ludu“ — „ludu w poezyi“ nie było jeszcze wówczas.

Pominąwszy mniejsze etapy w rozwoju zajmującej nas sprawy, i kilka mniej ważnych nazwisk, znajdziemy ogromny postęp pod tym względem dopiero w poezyach Syrokomli. Ten skromny, a tak sympatyczny „lirnik litewski“ był pierwszym naszym poetą, który odczuł głęboko niedolę upośledzonego ludu wiejskiego, ukochał go całym sercem i stał się jego żarliwym orędownikiem. W utworach swych gromił z całą bezwzględnością niemi-

łosiernych i nieuczciwych panów, dowodził, że wieśniak, ulepiony z tej samej gliny, co i szlachcic, powinien także posiadać te same prawa, domagał się uwolnienia wieśniaków od jarzma niewoli, hańbiącego cały naród, i przedstawiał, że zapomocą oświaty powinno się i należy całą tę ogromną masę ludzi podnieść moralnie i intelektualnie i w ten sposób powiększyć także liczbę obrońców niepodległości Ojczyzny. Więcej niż połowę swych tak licznych utworów epicznych, lirycznych i dramatycznych poświęcił Syrokomla tej ukochanej przez siebie sprawie a przedstawiał ją tak wszechstronnie, że nie było prawie kwestyi, związanej z ludem, którejby nie poruszył, jak nie było tonu, w którymby do serc współbraci nie starał się w obronie pokrzywdzonych włościan przemówić. Dzięki temu znajdujemy w poezjach autora „Dęboroga“ tak różnorodny i tak bogaty zbiór typów ludowych, jak u żadnego innego naszego poety, a niejedną z tych kreacyi musi najsurowszy nawet krytyk zaliczyć do prawdziwych ozdób całego naszego piśmiennictwa.

Przykład przedwcześnie zmarłego „lirnika litewskiego“ nie pozostał bez wpływu i bez naśladowców. Cały szereg najmłodszych naszych pisarzy zaczął teraz zwracać pilniejszą uwagę na braci w siermięgach, badać dokładnie warunki ich życia, ich wyobrażenia i potrzeby i czynić ich bohaterami swych

utworów. W powieści czynili to i czynią tacy pisarze, jak Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Klemens Junosza, Sewer i inni, w poezyi zaś przede wszystkim Marya Konopnicka, w której twórczości sprawa ludowa jest jednym z głównych i charakterystycznych motywów artystycznych. Przyglądnijmy mu się zatem nieco bliżej, bo to pozwoli nam także zapoznać się z istotą talentu najznakomitszej z poetek polskich i najwybitniejszej dziś przedstawicielki współczesnego naszego Parnasu.

Zajęcie się ludem wiejskim widoczne jest w poezjach Konopnickiej już od samego początku jej działalności na niwie piśmienniczej¹⁾ zarówno w formie, jak i w treści utworów. Pierwszy objaw, tj. wpływ poezyi ludowej na budowę zwrotki, nad którym nie będę się zastanawiał dłużej, występuje początkowo słabo i nieznacznie i później dopiero staje się u niej czynnikiem wybitnym, górującym nad innymi. Natomiast w treści utworów, w sposobie zapatrywania się na sprawę włościańską, jest stanowisko poetki od razu jasne i pewne i nie ulega już następnie prawie żadnym zmianom.

¹⁾ Pierwszy tom „Poezyi“ Konopnickiej wyszedł w Warszawie w r. 1881., trzy następne „serye“ w latach: 1883., 1887. i 1896. W r. 1897. ukazał się zbiorek p. n. „Linie i dźwięki“.

Jakby programem całego tego kierunku jest wiersz „Jaskółka“. Miła zwiastunka wiosny powraca zza morza na ojczyście niwy i cieszy się ich świeżością; smutno jej tylko, że dola ludu nie uległa żadnej zmianie, że przez tak miłą jej

... strzechę zmurszałą deszcz w chatę przecieka,
A ściany się krzywią i paczą,
Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
Lecz nędzną gospodą tułaczą,

że dzieci wiejskie wzrastają „jak płonne te kłoski“ na dzikim ugorze „bez myśli, bez czynu, bez woli“, że ludzie są znękani i zniechęceni do życia, a na ustach mają tylko „piosenkę niedoli“. Widząc to wszystko, woła jaskółka z żalem:

„Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słońko tę rzekę pod lodem,
Myśl strzęsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią,
I lud by się zbudził narodem“.

Rezolutna ptaszyna nie poprzestaje jednak na tem westchnieniu, lecz zabiera się do czynu: czarnemi skrzydełkami zawisa u okna dworu, przy którym dziedzic czyta właśnie swej żonie najświeższe gazety, i zwierza się młodej kobiecie z swych myśli:

„O panie! o pani! słońeczko kwietniowe
Przyświeca tak jasno, tak ładnie...

Czyż żaden promyczek na główki, na płuwe
Wioskowych pacholąt nie padnie?“

Myśl ta przemawia do przekonania i do
serca pocziwej pani, która przerywa mężowi
czytanie:

„Ach! widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą,
Myśl moja ucieka z jaskółką
I leci nad wioską odartą i nagą...
Mój drogi, zajmijmy się szkółką!...“

Ale mąż jest innego zdania:

„Hm! chłopu nauka co najmniej ryzyko...
Czytajmy, jeżeliś łaskawa!“

Ale jaskółka nie daje za wygraną; opo-
wiada dziedzicze, jakto za granicą inaczej
się dzieje, jak tam „plon myśli dojrzewa“ już
w czynach, jak tam ludzie nie frazesami, lecz
przykładem zagrzewają do działania.

Ach! rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,
Dostatków maleńkie okruchy;
A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,
I zbudzą się myśli i duchy!

Idąc za tym podszeptem, pani przerywa
po raz drugi mężowi i zadaje mu cały szereg
pytań:

„Najdroższy! chcę wiedzieć, dlaczego z pozoru
Praw równość głosicie człowieka,
A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu
Tak zawsze boleśnie daleka?“

Dlaczego przed dzieckiem, panienką, paniczem,
Zsiwiałą swą głowę odkrywa
Staruszek, piast wiejski, z dostojnem obliczem?
Kto bratnie rozerwał ogniwa?
Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu?
O myśl tę zmaconą, niejasną?
Czyż nie tem, co marnie przepada wśród gminu,
Wymierzać nam niemoc swą własną?
Posłuchaj mnie, drogi! Czyż tyle już trudu,
Czyż tyle mozołu potrzeba,
By światło nauki rozdmuchać dla ludu,
Łaknącym zdrowego dać chleba? ‘

Na wszystkie te pytania wymownej żony pan nie znajduje odpowiedzi — może zresztą ona ma słuszość, ale stąd jeszcze nic nie wynika, bo to przecież tylko piękna teoria, a między teorią a jej praktycznem zastosowaniem jest cała przepaść! Więc nie wdając się w teoretyczną rozprawę, kładzie koniec rozmowie w ten sposób:

„Co?... może ja pierwszy mam zbijać wiatraki
Z pocziwym Kiszotem w zawody
I, brudnych pastuszków zmieniawszy na żaki,
Sam gęsi zaganiać od szkody?
A może wziąć książkę i, siadłszy na trawie,
Nauczać z niej ludek, jak klecha?
Stąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Być może, że trudy się takie opląca,
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety;
Lecz chłopu naszemu? jak, po co i na co?
Daj pokój!.. czytajmy gazety!..“

Jeżeli wierszykowi temu przypatrzymy się uważnie, zobaczymy, że Konopnicka porusza w nim trzy sprawy: 1) materialnego bytu ludu wiejskiego, 2) jego oświaty, 3) stosunku dworu do gminy. Reform żąda jako wyniku sprawiedliwości i rozsądku, bo ten lud zaniedbany jest „siłą bez czynu“, czynnikiem potężnym, który, rozumnie wyzyskany, może wpłynąć niemało na korzystną zmianę całego bytu narodowego. Zapamiętajmy to sobie, a zobaczymy, że jest to program, do którego poetka niewiele dodała w dalszej swej działalności.

Satyryczny ten wiersz przypomina bardzo wyraźnie znakomity utwór Syrokomli „Lalkę“. Mała dziewczynka opowiada tam swej laleczce zdarzenie, którego była świadkiem, jak lud zgłodniały cisnął się do ich domu, wołając „chleba!“, i jak ojciec jej „słusznie“ wypędził ich kijem za tak niegrzeczne zachowanie. Ale myśl o obrazku, przedstawiającym Pana Jezusa, rozdającego chleb łaknącym rzeszom ludu, wywołuje pewne wątpliwości co do sprawiedliwości tego czynu w umyśle dziecka, które wreszcie postanawia pomodlić się o chleb i o szczęście dla rodziców i dla — „chłopów“. Satyra ta Syrokomli posiada o wiele większą wartość artystyczną, niż „Jaskółka“ Konopnickiej. Idee zaś zawiera zupełnie tę samą; istnieje naturalnie także różnica, mianowicie ta, jaką czas

i okoliczności musiały wywołać: Syrokomla pisał swój utwór przed zniesieniem poddaństwa, uderzał więc przedewszystkiem na nieludzkie obchodzenie się z poddanymi, Konopnicka, żyjąc w naszych stosunkach, musi wychodzić ze stanowiska równouprawnienia, stara się zatem wykazać tylko, że i ono pociąga za sobą obowiązki, przedewszystkiem zaś obowiązek zastosowania go w praktyce, pod każdym względem.

„Jaskółka“ ułatwiła nam bardzo nasze zadanie; według zawartych w niej motywów, możemy teraz podzielić sobie inne utwory Konopnickiej na trzy grupy, a w ten sposób łatwiej nam będzie rozpatrzyć się w bogatym dorobku literackim poetki. Ponieważ jednak w każdym razie musielibyśmy przejść kolejno kilkadziesiąt mniejszych lub większych jej utworów — bo tyle ich odnosi się do sprawy, nas obchodzącej, — więc pójdziemy jeszcze dalej: wybierzemy z każdego działu jeden utwór najbardziej charakterystyczny i ten tylko omówimy dokładniej, nie zatrzymując się już zbyt długo nad całym szeregiem innych, pokrewnych mu treścią lub dążnością.

Jeżeli chodzi o obraz materialnej nędzy ludu wiejskiego, to najdokładniej i z największą siłą skreśliła go Konopnicka w wierszu p. n. „Wolny najmita“. Wiersz ten ma wybitny nastrój liryczny, jak wszystkie prawie utwory, należące do tej grupy, więc faktów

dowiadujemy się z niego niewiele. Oto „błady, nędzną ubrany siermięgą“ wieśniak idzie wąską ścieżką „między półkami jęczmienia i żyta“ z wyrazem „głuchej boleści“ i rozpacz w wynędzniałej twarzy. Posłuchajmy, skąd ta rozpacz pochodzi:

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwo wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnyany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

Pozornie nie zajmuje się Konopnicka tą przeszłością „nędzarza, wygnanego z chaty za zaległe podatki“, kładąc główny nacisk na jego położenie obecne. Z gorzką, gryzącą ironią nazywa go „wolnym najmitą“, myśląc o owem pozornem polepszeniu bytu wieśniaków przez zniesienie „pańszczyzny“:

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy.

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje..
Pies nawet stary pozostał u wrota
I cicho wyje.

Ale cóż się stanie z tym biedakiem?
To nikogo nie obchodzi Mały zagonik roli
zabrano mu wprowadzić, bo nie zapłacił po-
datków, a

...opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosa
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...

ale wolności osobistej nikt mu przecież
nie odebrał, może więc uczynić, co mu się
tylko spodoba:

Wolny! — wszak może iść, albo spoczywać,
Albo kłać z zgrzytem tłumionej rozpacz;
Może oszaleć i płakać i śpiewać —
Bóg mu przebaczy!

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni..
Od wschodu słońca do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Bo i cóż ma się zmienić? Co może kogo
obchodzić los tego nędzarza? Ogół dał mu
swobodę osobistą i za tę łaskę nałożył na
niego obowiązki. Nie spełnił ich, więc musi
ustąpić miejsca drugiemu, sam zaś ma zupeł-
ną swobodę działania!

Czegoż on stoi? wszak wolny, jak ptacy!
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera;

Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera.

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita!

W żadnym może wierszu Konopnickiej nie występuje ironia tak jaskrawo i w tak wysokim stopniu, jak w tym właśnie obrazku. Mamy tu doprowadzone *ad absurdum* przekonanie, że wolność osobista jednostki uwalnia ogół od zajmowania się jej losem i pomagania w potrzebie — pomieszanie zaś pojęć swobody nędzarza i obojętności społeczeństwa jest tak zręczne, uczucia wyrażone są z taką siłą i szczerością, że utwór ten trzeba zaliczyć do najlepszych, jakie z pod pióra Konopnickiej wyszły. Do tej samej grupy należą pomiędzy innemi: „Bez dachu“, „Dwie wiosny“, „Co poczniesz“ i niektóre wiersze z cyklów: „Na fujarce“ i „Z łąk i pól“.

Za przykład, jak Konopnicka zapatruje się na sprawę oświaty ludu, niech nam posłuży obrazek p. n. „Przed sądem“.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnymi,
W których lży wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach, spuszczonech do ziemi:
Błady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozplakać się i wołać: „matko!“,
Gdyby miał matkę, i mógł stroić psoty

I pocałunków żądać i pieszczoty
I spać na piersiach ojca, a tak drżący,
Jak ptak, wyjęty z gniazda i już mrący, —
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

Taki chłopczyzna miał odpowiadać za
jakieś przestępstwo w sali sądowej, tak chłodnej i ponurej, że „Chrystus biały“, co stał na krucyfiksie, „zdawał się cierpieć i drzeć na swym krzyżu“.

W śledztwie pokazuje się, że oskarżony jest sierotą i że rodziców swych nawet nie pamięta. Wówczas sędzia, zamyśliwszy się nieco, zapytał pisarza, czy w wiosce jest szkoła. „Nie“ — odpowiedział krótko zapytany, nie uważając za stosowne tego niezwykłego i dziwnego pytania zapisać w protokole.

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu, zmacony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy. —
Na drobną główkę, gdzie myśl, głucho śpiąca,
Nie znała światła innego prócz słońca
I innych wrażeń ożywczych prócz rosy.

Pod wrażeniem tego widoku pogrąża się sędzia w głęboką zadumę. Zdaje mu się, że widzi przed sobą „przyszłość z czołem zachmurzonym“, zasiadającą w tej samej sali, na jego miejscu, i powołującą przed swój straszliwy sąd całe pokolenia ludzkości. Wówczas zjawiły się przed nim ogromne, ciemne

tłumy, tamujące ruch milionów i zasłaniające, jak wielka, czarna chmura, słońce postępu i prawdy tak, że powstawał zmierzch, trwający dziesiątki wieków. Wtedy zrozumiał, że ów ciemny, nieoświecony tłum to nie tylko zaporą dla drugich, ale równocześnie olbrzymia siłą, straconą „dla wielkich celów i dążeń ludzkości“, że siła ta, stosownie użyta, nie tylko nie zaćmiewałaby światła, ale owszem pomogłaby ludzkości zbliżyć się do niego bardziej jeszcze. A przyszłość wydawała ze swego sędziowskiego tronu groźny wyrok na owe ciemne tłumy i na społeczeństwo, które było powodem tej ciemnoty i za którego winy owi wydziedziczeni nędzarze cierpieli. Wtedy zdało się sędziemu, że słyszy brzmiały w powietrzu sąd nad sprawą stojącego przed kratkami chłopczyny:

„Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi ‘
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy.
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą.
Niechże was Chrystus sądzi!’“

Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy
I rzekł: „Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę.“

Jeżeli będziemy chcieli osądzać „Przed sądem“ jako zwykle tylko opowiadanie, to dostrzeżemy w niem bez trudności w sposobie rozwikłania sytuacji rażące rozminięcie się z prawdą życiową. Żaden sędzia nie mógłby w rzeczywistości postąpić tak, jak to nam przedstawia Konopnicka — bo on w sali sądowej nie jest już humanitarnym człowiekiem, lecz tylko wykonawcą tej martwej, zimnej litery prawa, na którą poetka narzeka tak bardzo; musiałyby więc przedewszystkiem ukarać chłopca, któremu dowiedziono występku a potem dopiero mógłby myśleć o daniu mu wykształcenia, któreby skazanego powstrzymało od dalszych wykroczeń. Ale też nie w ten sposób trzeba się zapatrywać na ten utwór; Konopnicka chciała w nim powiedzieć, że to, co czyni ów sędzia, powinno czynić całe społeczeństwo, że oświata jest najlepszym hamulcem zbrodni i występków wszelkiego rodzaju i że karać można tylko tego, komu pokazano już przedtem drogę postępowania prawego i prawnego, a kto mimo to zboczył z niej świadomie. Wobec takiego zamiaru poetki musi odpaść zarzut, że odstąpiła od prawdy i przedstawiła rzecz niemożliwą

Z tego samego powodu nie można też uczynić podobnego zarzutu innemu utworowi p. n. „Z szopką“. Czworu dzieci chłopskich stoi późno w wieczór wigilijny przed drzwiami dworu, „główki na mrozie odkrywwszy z po-

korą“ i trzymając na żerdzi jaskrawą, z różnobarwnych skrawków papieru sklejoną „gwiazdę“. Wierne dawnemu zwyczajowi przyszły przed ganek dziedzica, aby dziecięcymi głosami oddać cześć Panu nad pany i zwiastować rocznicę przyjścia Jego na świat. We dworze jednak nie zważano nawet na małych, marznących na dworze śpiewaków, więc najmłodsze z dzieci, „odziane w łaćman, z stopami bosemi“ umilkło i, zapatrzwszy się w gwieździste niebo, zaczęło rozmyślać:

Czemu to, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora!...
Czemu to ludzie w przednówek tak bladną
I jakby cienie po drogach się włączą?
A dzieci we wsi z małeńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą,
Choć radby wiedzieć, co jest tam daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką?
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolendą i szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: „Bracia, Chrystus się narodził!“
Czemu?...

Opowiadanie swe kończy Konopnicka przepowiednią, że nastanie kiedyś dzień, który odpowie na zapytania chłopięcia — i prze-

strzeża społeczeństwo, że dzień ten może być dniem sądu i może owo „czemu?” powtórzyć gromem zemsty za zaniedbywanie najważniejszych obowiązków, ciężących na ludzkości.

Żaden z utworów Konopnickiej nie spowodził na jej głowę tylu gromów krytyki i nie wywołał tylu głosów oburzenia, co „Z szopką“. Wyśmiewano autorkę, że małemu dziecku wiejskiemu każe wyrażać myśli, jakie mogły powstać tylko w głowie człowieka, znajdującego na wylot życie i stosunki społeczne, oburzano się na nią za żądanie, aby dwór wyręczał dzieci wiejskie i aby, na odwrót obecnych stosunków, dziedzic na czele swej rodziny chodził z „gwiazdą“ między chaty wieśniacze, — w ostatniej wreszcie przepowiedni dopatrywano się nawet podżegania ludu do zemsty za niesprawiedliwość, z jaką „panowie“ z nim się obchodzą. Nie trzeba jednak być wielkim wielbicielem Konopnickiej i powyższego jej utworu, aby zobaczyć, że te wszystkie zarzuty nie mają żadnej podstawy. Poetce chodziło tu o wyrażenie pewnej społecznej myśli, a chłopczyk ów jest tylko manekinem, mającym ją wygłosić: ze stanowiska więc Konopnickiej sądząc, powinniśmy pytać raczej o to, czy dziecko wiejskie miało by prawo przemawiania w taki sposób, niż o to, czy umiało by swoje myśli w ten sposób wyrazić i czy wo-

góle takie myśli mogłyby przyjść mu do głowy; na to zaś niema dwu odpowiedzi.

A cóż ma być ową przewodnią myślą całego opowiadania?

Oto spostrzeżenie — niewątpliwie w znacznej części słuszne — że nasze chrześcijaństwo jest niezupełnem, że polega tylko na słowach, a nie na czynach, że nie chcemy wprowadzić, w życie pierwszej zasady naszej religii, równości wszystkich ludzi, lecz zaniedbujemy i lekceważymy biedniejszych dlatego tylko, że są biedniejszymi. Przykładem jest dwór i jego stosunek do chaty wiejskiej: nikt z panów nie pouczy chłopków, „jak kochać potrzeba zagon ojczysty, co daje kęs chleba“, nikt nie wstąpi do nich, by z nimi „zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści“, nikt ich nie podniesie duchowo, ale często się zdarza, że dzieci „uczy się batogiem odkrywać głowę przed pańskim tym progiem“.

Możnaby na to odpowiedzieć, że zarzut to może w zasadzie słuszny, ale przez to, że jest zbyt wyspecjalizowanym, że obejmuje tylko właścicieli ziemskich i włościan, staje się niesprawiedliwym — bo przecież tak jest na całym prawie świecie i u wszystkich warstw wszystkich prawie społeczeństw, że niema zapewne narodu, w którymby już wprowadzono w życie zasadę bezwzględnej równości. Konopnicka wie to jednak równie

dobrze, jak my; w jednym z drobnych wier-
szyków mówi, poruszając ten sam temat:

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna, jako oceany,
A taka straszna, jak otwarte rany?
W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,
Cichy myśliciel — ustawę pokoju,
Mędrzec — pęk światła słonecznego z nieba,
Nędzarz — pot krwawy i czarny kęs chleba,
Bohater — sławę, geniusz — swoje trudy,
Życie — swe prawa i swoje zjawiska,
Duch — swą tęsknotę, dzieje — całe ludy;
Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska..
A przecież dotąd, pragnieniem ziejąca,
Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca!

Jeżeli zatem Konopnicka widzi „tę prze-
paść“ we wszystkich społeczeństwach i wszyst-
kich jego warstwach, to dlaczego zwraca swe
skargi i ciska swe gromy tylko w stronę na-
szej szlachty za to, że i ona w stosunku swym
do ludu ulega powszechnemu prawidłu i nie
wznosi się ponad wszystkich?

Przedewszystkiem zapewne dlatego, że
poetkę lud nasz obchodzi najwięcej i boli ją
jego położenie bez względu na to, iż także
gdzieindziej lud nie znajduje się w lepszym, — a
powtóre: dlaczego poeci nasi żądali od nas
niegdyś „nadeuropejskiej cnoty“? dlaczego
chcieli, abyśmy byli przykładem i wzorem
dla innych narodów? Oto dlatego, że według
ich pojęcia samo wzniesienie się nasze na

wyższe stanowisko moralne jest już rękojmią naszej przyszłej niepodległości, jest nieomyślną do niej drogą. To samo można powiedzieć o Konopnickiej. Ona widzi odrodzenie się Ojczyzny w uświadomieniu ludu, uczynieniu z tej wielkiej a ciemnej masy dobrych Polaków i chciałaby wszystkie warstwy narodu zjednoczyć tą szczytną idea. Cóż więc dziwnego, że ją razi i boli stosunki, może powszechne gdzieindziej i wytłómaczone, ale u nas tem przykrzejsze i zgubniejsze, że przeszkadzają wielkiej pracy narodowej, a nawet ją uniemożliwiają zupełnie! Ten wzniosły cel, ta głęboka wiara, że „tylko światło zwycięża otchłanie“ niewoli, powinny zamknąć nam oczy na wady kompozycji utworów, bądź co bądź nie pospolitych, nie codziennych, powinny zwrócić naszą uwagę na myśli, natchnione gorącą miłością Ojczyzny, i zjednać naszą sympatię autorce, która w ten sposób określa swoje uczucia i pragnienia:

Wiem! niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli,
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
I z krwawej roli...
I ja też lecę, jak ptak obłąkany
I wichrem gnany.

Przecież, o zmierzchy skrzydłami bijąca
I piekiel naszych ogarniona sferą,
Oczyrna szukam dnia blasków i słońca,
Contra spem spero...

I w głębi mogił czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze ..

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów,
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości
W jutrznię błękitów
I w gwiazdę ludów wierzą wśród zawiei
Przeciw nadziei !



OBRAZKI MIEJSKIE
WIKTORA GOMULICKIEGO.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1215 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.

WILSON & GORRILL
LIBRARY

Gomulicki zapisał swe nazwisko złotemi głoskami w księdze dziejów naszej poezyi najnowszej. Tworzy wprawdzie niezbyt wiele, bo poza dwoma zbiorami średniej objętości*) zaledwie kilkanaście mniejszych lub większych wierszy błąka się tu i ówdzie po rocznikach czasopism literackich, jednak nie ilość, lecz jakość poematów stanowi o sławie i znaczeniu ich twórcy. A wszystko, co wyszło z pod pióra Gomulickiego, przybrane jest w szatę tak nieskalanie piękną, tak artystyczną w każdym szczególe, że tworzy szereg prawdziwych cacek, pieścidełek, które mogłyby być ozdobą nie tylko naszego, ale

*) Mówimy tu tylko o Gomulickim -- poecie -- nie prozaiku. Pierwszy zbiór jego utworów p. n. „Poezye“ wyszedł w Warszawie (1886.) — drugi „Nowe Pieśni“ w 10 lat później w Petersburgu. Obecnie ukazały się w Warszawie, gdzie poeta przebywa stale, „Wybór poezyi“ oraz „Pieśń o Gdańsku“. Z wierszy, nieobjętych powyższymi zbiorami, należy do najpiękniejszych może obrazek „O północy“ (Biblioteka warsz. 1900. kwiecień) i drobne „Wierszyki“, pojawiające się od czasu do czasu w „Tygodniku ilustrowanym“.

każdego piśmiennictwa. Rzecz dziwna i nie-powszednia, że pod tym względem, pod względem artystycznego opracowania, nie widać prawie u Gomułickiego postępu, wyrobienia się, lub wogóle jakiegokolwiek różnicy pomiędzy pierwszymi a ostatnimi jego utworami. Jeżeli prawdą jest to, co sam o sobie żartobliwie powiada, że „poematy jego pierwsze brano pod placki“, to poematów takich nigdy, w najpierwszej nawet młodości, nie ogłaszał drukiem, z ogłoszonych zaś żaden nie zasługiwał na podobnie barbarzyńskie postępowanie.

Jeżeli pod względem formy znajdziemy u Gomułickiego zupełną jednolitość, to co do treści panuje zato w jego utworach olbrzymia różnorodność. Zdarza się często, niestety nawet zbyt często, że poeta jakiś, trafiwszy na pole, najwłaściwsze dla jego zdolności, rozlubuje się w niem nadmiernie i albo wyłącznie, albo przynajmniej przeważnie w niem już tylko zaczyna się obracać, traci z oczu inne objawy życia, staje się jednostajnym i jednostronnym i popada w manierę. U Gomułickiego nie doszukamy się ani śladu takiej manieri, jaką widać np. u Konopnickiej, a nawet u wielu młodszych poetów — owszem, oprócz jednego może Asnyka, nikt z naszych poetów, którzy wystąpili na widownię po r. 1863., nie przedstawił tak rozmaitych stanów duszy, nie opisał życia w tak rozmaitych sy-

tuacyach, jak właśnie on. W poezjach jego znajdziemy wybuchy serdecznego śmiechu obok łez żalu i rozpaczy, gorzką ironię, przechodzącą niekiedy w sarkazm, obok zachwyty i uniesień, ekstazy głębokiej wiary obok rozpaczliwego zwątpienia — jednym słowem wszystkie uczucia, jakie mogą powstać w duszy człowieka nowożytnego, a wszystkie wyrażone z równem pięknem i równą prawdziwie wielką prostotą.

Toteż w niemałym kłopotcie znajduje się ten, ktoby chciał w krótkim szkicu dać swoim czytelnikom jakie takie wyobrażenie o autorze „Pieśni o Gdańsku“. Aby objąć całą działalność jego, trzebaby poświęcić wiele trudu i zapisać wiele arkuszy — a na to nie pozwala miejsce; jeśli zaś kto wyjmie jeden tylko z tylu najrozmaitszych tonów i akordów, które Gomulicki wygrywał na swojej lutni, to popadnie w jednostronność i wypaczy do reszty i tak bardzo nieuchytny portret poety — i jedno złe i drugie niedobre! Trzeba więc sobie poradzić chyba w ten sposób, że, zachowując różnorodność uczuć, wyrażanych przez poetę, ograniczy się je na jakieś niezbyt obszerne terytorium i omówi w tych niewielkich ramach. Wybierzmy na „chybi, trafi“ — miasto!

Jakto? nowożytne miasto, z wiecznie dymiącymi kominami fabrycznymi, z parą i elektrycznością, brukiem i asfaltem, powozami

i „kołami“, okopcone, nudne, jednostajne?! Czyż może być coś mniej poetycznego? Prawda, wdzięku poetycznego ma ono w sobie niewiele, ale tem większe zajęcie budzi pytanie: jak też Gomulicki je przedstawia, jak potrafił przystroić ten prozaiczny temat w szatę poezyi? Ominawszy nawet obszerną „Pieśń o Gdańsku“ — bo ta wymagałaby dłuższego sprawozdania — w drobniejszych utworach naszego poety znajdziemy materiału aż nadto. Roi się w nich prawie od opisów miejskiego życia, miejskich typów lub miejskich ulic i zaułków.

Zacznijmy od ostatnich:

Nizko mgła się wlecze brudna
Po ziemi;
Gaz połyska w niej oczami
Żółtemi...

Łatwiej duszy skrzydła zwinąć
Dla chleba,
Niż wśród mgły tej znaleźć drogę
Do nieba.

A więc Gomulicki nie lubi miasta i będzie je zawsze przedstawiał w barwach ciemnych, ujemnych tylko? Bynajmniej! Jego wrażenia nie zawsze są równe, bo niezawsze równym jest stan jego duszy, od którego zależą. Te dwie prześliczne zwrotki napisał zapewne w chwili jakiegoś smutku, bo kiedy go „odurzy wino wiosny i młodości“, wcale inaczej przedstawiają mu się gwarne ulice:

Zdaje mi się, że złościćiej
Palą się latarnie,
Że posągi pośród liści
Mrugają figlarnie;

Zdaje mi się, że pojazdy
Do rytmu turkocą,
Że nie świece, ale gwiazdy
W ulicach migocą;

Zdaje mi się, że tęczowo
Lśnią kamienie ściany,
Że mozaiką marmurową
Chodnik wykładany;

Zdaje mi się, że przechodnie
W uśmiech stroją twarze.
Że ich serca biją zgodnie,
Jak młotki w zegarze...

Dosyć! To nie zachwyty, to ironia! Poszukajmy więc nie zachwyków i nie wybuchów chwilowego żalu, ale trzeźwego sądu, zwykłych, codziennych wrażeń.

O miasto! masz ty upojenia,
Jakich nie dają wiejskie wczasy —
Gdy się ulica rozpłomienia
I wśród namiętnych rozmów wrzenia
Szumią koronki i atlasy...
Idziesz, niesiony ludzką falą,
Jakbyś sen roił gorączkowy,
Świat ci biesiadną zda się salą,
Kędy się słońca sztuczne palą
I, ze krwią, bije szal do głowy...

A więc życie miejskie nie jest tak jednostajnem i banalnem, jakby się mogło wydawać, trzeba tylko umieć na nie patrzeć, zro-

zumieć jego objawy, a odkryje się całe mnóstwo szczegółów nowych i ciekawych. Oto na przykład zwykły „ogródek na przedmieściu“, jakich tysiące wszędzie.

Od zachodu — wielka biała ściana,
Od południa — złote słoneczniki,
Od północy — bluszczowa altana
A od wschodu — czarny szczyt fabryki....

Ale pomimo takiego sąsiedztwa „miło tutaj zapach róż pić z rana“ albo leżąc „na murawie czytać *Bukoliki*“ — tylko wniknąć w to dzieło rzymskiego poety, przenieść się myślą w jego czasy, nie można tutaj tak, jak w jakimś wiejskim ustroniu, bo

... gdy, goniąc idylliczne mary,
Z miejsc tych wzlecisz w światy Wergiliusza,
Nagle z nieba strąca cię świst — pary...

Tak, gdy w czyścju zabłąkana dusza
Zbyt oddali się od miejsca kary,
Wrzask ją czartów do powrotu zmusza!

Życie to więc nieponętne, kiedy przypomina kary czyścowe, ale jakby na to stworzone, aby artyści mogli z niego czerpać treść do swych dzieł. Bo „ślepy“ chyba był ten malarz, który rozpaczliwie prosił o jakąś myśl do obrazu,

A nie widział, jak z każdego glazu
Dramat ludzki huczy: oto jestem!

Miasto drgało wśród płomieni gazu,
Jak trup w ogniu, spowity azbestem,

I łańcuchów brzęk, pełen wyrazu,
Płynął wespół z jedwabów szelestem.

Tutaj wyły płaczki pogrzebowe,
Ówdzie śmieszek slyszaleś niewieści,
Albo łotrów tajemniczą znowę;
Grzmiała burza szaleństw i boleści...

I jakby na dowód, że tej treści jest mnóstwo, daje nam Gomulicki cały szereg obrazków, wprost z życia zaczerpniętych, niewyszukanych, codziennych, a tak prawdziwych, że przypominają momentalne zdjęcia fotograficzne.

Czasem objaśnia nam taki szkic jakąś uwagą, częściej jednak nie dodaje od siebie nic i wnioski pozostawia czytelnikowi, wprawiając go tylko dobraniem faktów w jakiś nastrój, wesoły lub ponury.

Oto przykład:

Noc. Z dwu krańców przeciwległych miasta
Para ludzi zdąża w jedną stronę:
Z pod rogatek wychudła niewiasta,
Z ponad Wisły chłopisko zgarbione

By krup garstkę zdobyć i kęs ciasta,
Muszą życie pędzić rozdzielone,
I dopiero, gdy cień nocy wzrasta,
Żona męża, a mąż wita żonę.

Jednak ciężar ten ich nie zastrasza
Bo gdy wróca, dzieciątko różowe
Głośnym śmiechem ich smutek rozprasza.

Lecz dziś w domu znajdują wieści nowe...
Dziecię oknem wypadło z poddasza
I na bruku roztrzaskało głowę.

I nic więcej — żadnego wykrzyknika, żadnej uwagi. Ileż to skarg, narzekań, a nawet klątw wypowiedziałyby zaraz na ten temat Konopnicka, ileż łez wylałyby sama i kazała wylewać czytelnikowi nad nieszczęściem dziecka i niedolą rodziców, którzy utracili w niem jedyną pociechę! Gomułicki podaje tylko nagi fakt, nie wywołuje w nas uczucia sztucznie. „Jeżeli odczuwasz to nieszczęście — zdaje się mówić do czytelnika, — to płacz nad niem, lub lepiej jeszcze, zaradz podobnym na przyszłość; jeżeli zaś go nie odczuwasz, jeżeli ono samo do ciebie nie przemawia, to i moje pośrednictwo nie na wiele się przyda.“

Czasem jednak i on nie dowierza czytelnikom, czy się domyślają, o co właściwie chodzi, i pomaga im jakąś uwagą.

Do widzenia!.. W namiętym wybuehu
Raz ostatni splotły się ich dłonie.
Pociąg ruszył — w mgle wieczornej tonie...
On na miejscu wciąż stoi bez ruchu.

„Do widzenia!“ i jej dźwięczy w uchu..
Do szyb ciśnie rozpalone skronie,
Tchu jej braknie w zamkniętym wagonie,
Aż łez strumień ulżył jej na duchu.

Ona w drogę wyrusza tułaczą,
On za losu ma gonić widmami —
Jednak wiary są pełni, choć płaczą...

I tu mógłby być koniec, bo w tych jedenastu wierszach zawarto wszystko, co widz.

może zauważyć: obraz skończony. Ale poeta nie wie, czy czytelnicy pojmują całą grozę położenia; może przypuszczają, że ci ludzie, których nędza teraz rozdziela, będą później szczęśliwsi, bo wszakże i oni sami „wiary są pełni, choć płaczą“. Więc trzeba odsłonić także rąbek przyszłości:

Lecz ta wiara zdradnie ich omami:
Prawda, że się po latach zobaczą,
Nie zobaczą się jednak — ciż sami...

Obrazków takich, malujących sceny życia miejskiego, znajdziemy u Gomułckiego wiele, a w tonie ich i sposobie ujęcia przedmiotu panuje wielka rozmaitość. Ogółem jednak wzięwszy więcej tu materiału do smętnych rozmyślań, niż do wesołego, swobodnego śmiechu, bo poeta widzi w tem zbiorowisku ludzi, otoczonem kopcącymi kominiarzami, więcej plam i cieni, niż światła. Stąd nawet w humorystycznych obrazkach spostrzegamy jakiś cień żalu, że ci ludzie są tak śmiesznymi, czy to w uczynkach, czy w sposobie myślenia, i mimowoli czujemy, że poeta wolałby może nawet pisać panegiryk choćby w części uzasadniony, niż te satyry płynące mu nie ze śledziona, ale z serca, głę boko czującego.

Tak naprzykład w sonecie „Odpoczywa“ mamy obraz człowieka, który „rwąc wszystkie serdeczne ogniwa, depcąc miłość, mło

dość i zabawę, zebrał milion“. Teraz ma wszystko, czego pragnął, wszystko, co tylko może dać bogactwo, — a przecież widzi, że to bardzo mało, bo w wycieńczonem, schorowanem ciele czuje zarodki zbliżającej się śmierci.

Cóż więc zyskał za serca martwość,
Za dni, w mroku pędzone i cisy?
Do wygodnej trumny wieko złote!

Gdzieindziej znowu („Na huśtawce“) widzimy w ogródku przedmiejskim pomocnicę sklepową, wzlatującą na huśtawce „nad drzew szczyty“ wśród śmiechu towarzyszek i skrzypienia sznurów.

Jutro wróci maszynkowym ruchem
W świat kupiecki, wrażeń niełakomy,
Z łokciem w rękę, stalówką za uchem;
Lecz wertując książę handlowych tomy,
Będzie mogła z dumnym wyrzec duchem:
„Wzlatywałam i ja — nad poziomy!“

A jednak możnaby przysiąc, że poeta nie wypowiedział tu wszystkiego, co myślał o tym obrazku, że gdyby nie względy artystyczne, byłby dodał uwagę dla czytelników, mniej domyślnych i mniej silnie czujących: „Tak, ten śmieszny wzlot na huśtawce — to jedyna jaśniejsza i swobodniejsza chwila w życiu tysiąca takich istot o *maszynkowym ruchu*. Ale czy to nie smutne? czy nie powinno być inaczej? czy podniosłe wrażenia powinny być na zawsze niedostępnymi dla tych mę-

czenników ciężkiego obowiązku? Pomyślcie nad tem, a może śmiech zamrze wam na ustach!

Gdyby ton poematu, ten nastrój, w jaki pewien utwór wprowadza nas po przeczytaniu, można było rozbierać tak, jak się rozbiera zdania i wyrazy, nietrudno byłoby wykazać słuszność powyższej uwagi — ale niestety, taka analiza jest niemożliwą do przeprowadzenia, bo tu wchodzi w grę nie rozum, lecz serce, a przynajmniej nietyle rozum, ile serce, a że nie mamy jeszcze żadnej logiki sercowej, więc łaskawy czytelnik musi mi uwierzyć na słowo, albo też dośpiewać sobie w duszy te piosnki Gomulickiego, jak chce i umie.

Oprócz tych niedomówionych wierszyków, tych „dokumentów życiowych“, jakby je nazwali naturaliści literaccy — ale dokumentów, zbieranych częściej sercem, niż oczyma — mamy w poezjach Gomulickiego grupę drugą, w której zarówno zapatrywania, jak i uczucia poety występują jasno i wyraźnie, bez osłonek i domyslników. I znowu nie przejdziemy tych utworów wszystkich, lecz weźmiemy pod uwagę tylko najbardziej charakterystyczne.

„Głodnego nakarmić“ — to jeden z dłuższych utworów poety, który zwykle bywa w swych wynurzeniach zwięzłym, a jednak pomimo większej objętości jest w tym wierszu stosunkowo bardzo mało treści i akcji.

Jesteśmy we wspaniałym parku królewskim,
wśród posągów, wodotrysków, sztucznych grot.
klombów kwiatów wyszukanych i roślin egzo-
tycznych — i wnosimy z tych wrażeń, że ży-
cie mieszkańców tego cudownego pałacu jest
z pewnością

.... próżne i walk i boleści,
Rozkoszną drzemką wśród wachlarzów szumu
Bańką mydlaną, śliczną — choć bez treści!

I oto w takim miejscu zjawia się grono
„obdartych i głodnych najmitów“, którzy przy-
chodzą tu odpocząć po wyteżającej pracy
i zjeść swój skromny posiłek południowy.

Odzież ich w strzępach, lica jak z mogiłek...
Siadają w cieniu z nieruchomą twarzą,
A lipa na nich strząsa złoty pyłek.

Pożądliwością oczy ich się żarzą
Na widok rzodkwi i czarnego chleba,
Po którym liszki prądkowane łążą.

I najpierw wznoszą źrenice do nieba
Ze łzą dziękczynną, co świadczy widomie,
Że im z tych wyżyn niczego nie trzeba;

Potem z bochenka rwą kasy łakomie,
A jak u zwierząt, podrażnionych głodem,
Pod brwią im gęstą błyska dzikie płomie..

Po spożyciu tego posiłku składają znowu
dłonie, okaleczone ciężką pracą, i za przewo-
dnictwem najstarszego, siwego staruszka, mo-
dlą się znowu. I cóż jest treścią tej modlitwy?

Za chleb dziękują i za pot swój krwawy,
Za to, że życie nie wiąże ich niczem
I że w grób mogą kłaść się bez obawy,
Że na świat patrzą kamiennem obliczem,
Że mrok bezgwiazdny dusze ich zalewa,
Że radość widmem jest dla nich zwodniczem
I że nie wiedzą, o czym słowik śpiewa,
I że na piękno brak im czułych oczu
I że dni gorszych każdy się spodziewa.

W takiej ironicznej modlitwie przedstawia poeta smutny los tych ludzi, los, do którego najwymowniejszem przeciwieństwem jest ów pałac królewski. Ale był pomiędzy nimi człowiek jeszcze biedniejszy, bo nie miał nawet „rzodkwi i czarnego chleba“, a nie musiało to być w jego życiu położenie wyjątkowe, skoro „głód mu w policzkach wyżyłbił dwa doły“ i w całej postaci jego widać było ślady nędzy. Początkowo chciał nadrabiać miną, napił się wody ze wspaniałego wodotrysku i świstał — ale nagle głód przemógł, „twarz mu zastygła schmurzona“ i strasznym, jadowitym wzrokiem spojrzał na wspaniały pałac, na kwiaty i posągi, „a pod tym wzrokiem wszystko pociemniało“.

Pałac czuć zdala trumną i pustkowiem,
Przełękły łabędź po fali ucieka,
A słońce bladym wydaje się nowiem...

I tak jedno spojrzenie głodnego człowieka zmieniło ziemię, zmąciło jej ciszę i przygniotło ją jakby wielkiem trumny, bo matka-przy-

roda zasmuciła się, że jej najdoskonalszym
tworom brak tego, co posiada nawet licha
trawka, że chodzić muszą z oczyma błędnymi
od straszego głodu.

A przecie z głodu drzewo nie usycha,
Ani się skarżą nań powietrzne ptaki,
Ani wśród piasków zna go mrówka cicha.

Wszyscy od życia wzięli los jednaki,
A ziemia, pomnąc o każdym z swych dzieci,
Żywi lwy dumne i nędzne robaki.

W rzekach i borach jest karmi dostatek,
Owoc na drzewie połyska soczysty —
I miód się w plastrach bieli, jak opłatek;

Na polach szumi zboża płaszczy kłosisy,
A z rykiem trzody zespala się zgodnie
Plusk ryb, wrzask ptactwa, tłustych żółwiów
[świsty...

Więc na człowieku tym spełniono zbrodnię,
Gdy go od uczty życia odepchnięto,
Prawo istnienia kradnąc mu niegodnie.

Ale wobec stanowiska, zajętego tu przez
poetę, możnaby zapytać, czy wzgląd na kilku
nędzarzy ma powstrzymać ludzkość w jej po-
chodzie cywilizacyjnym? czy dlatego, że są
ludzie głodni, nikt nie powinien oddawać się
sztuce? czy piękno należy skazać na zagładę
dla próżnych żołądków? Nie, Gomulicki nie
myśli o czemś podobnem i dlatego wyjaśnia
bliżej, w jakim celu postawił nam przed oczy
ów rażący kontrast — wspaniały pałac i głod-
nego nędzarza:

O! wznóśmy pięknu wspaniałe ołtarze,
Marmur i złoto niech rzucają blaski,
Wino niech szumi w kryształowej czarze!

Skroń strójmy w róże, twarz w wesołe maski,
Myśl nasza słońcem niech będzie pojona,
A słuch zamknięty na niesforne wrzaski!

Wieżami tumów prujmy chmurom łona,
Niech posąg każdą przyozdabia niszę,
Rzeźb koronkowych niech błyszczy zasłona;

Niech nas pieśń wieszczów dopóty kołysze,
Aż każdy smutków daremnych zaniecha
I myśl pograży w olimpijską ciszę;

Wesołe tylko budząc w życiu echa,
Niechaj ofiary biorą od nas wszędzie:
Miłość i rozkosz, piękno i uciecha...

Lecz wprzód — niech głodnych pośród nas
[nie będzie!

Myśli to tak jasne, że chyba nie potrzebują wyjaśnień, a tak piękne, że nie potrzeba dla nich szukać sztucznych podpórek w estetyce — szkoda tylko wielka, że po załatwieniu tej sprawy „chleba dla wszystkich“ w sercu i głowie naszej, nie załatwi się jej jeszcze w rzeczywistości i że to piękne życzenie poety będzie, niestety, najprawdopodobniej na zawsze tylko „pobożnem życzeniem“ szlachetnych serc całej ludzkości!

Nie od rzeczy też może będzie zwrócić uwagę, że w tym jedynym wierszyku zachodzi blizkie pokrewieństwo celów i środków pomiędzy Gomulickim a Konopnicką. Pod

tym jednym utworem nie raziłby nas podpis autorki „Wolnego najmity“, a dziwiłby tylko jej niezwykle spokoj, brak przesadnych uniesień, podbijanie czytelnika nie szumnymi frazesami, ale siłą najczystszej logiki, jednym słowem przewaga piękna nad tendencją. Ha! bo też to nie Konopnicka, ale Gomułicki!

Nie nadużyję może cierpliwości czytelnika, przedstawiając mu jeszcze jeden obrazek z życia miejskiego, bo obrazek to tak oryginalny i tak piękny, że w całej naszej nowszej poezji niewiele jest podobnych. Napis jego: „*El mole rachmim*“... Słowa to hebrajskie, znaczą: „Boże, pełen miłosierdzia!“ a są początkiem pieśni za umarłych. Podczas obrzędu ślubnego, jeżeli jedno z narzeczonych jest sierotą, pieśń tę nuci *chazen*, t. j. kantor. Otóż pieśń tę słyszał poeta, patrząc na obrzęd ślubny z podwórka domu żydowskiego. Musiał się tam zakraść pokryjomu, bo „wiara, zamiast jednoczyć, dzieli i oddala“, więc zdala tylko przypatrywał się mnóstwu ludzi, zebranemu w małych pokoikach.

Żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką,
A goście i ciekawi zalegli podwórko.
I miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni.
Kilka zbudzonych gęsi gęgało przy stajni,
Na poręczach galeryi pościel się wietrzyła,
Z kuchni woń ryb skwarzonych płynęła niemiła,
A w kącie dwie akacye marły na suchoty.
Niebo od gwiazd błyszczało, jak szabaśnik złoty;

Obłoków*) nie plamiła nawet chmurek welna
I noc była królewskiej wspaniałości pełna.

Z tego podwórka mógł poeta przypatry-
wać się swobodnie wszystkiemu, co się działo
wewnątrz niewielkiej izdebki. Poruszał się
tam stłoczony tłum gości weselnych, równie
pospolitych, jak tło tego obrazka: tandecia-
rzy, faktorów, przekupni i tragarzy, a pośród
nich stał pan młody, Icek, pod starym, szkar-
łatnym baldachimem, oblany światłem świe-
czek i dymem kadzielnic. Chustka zakrywała
mu oblicze, a przed nim stał jakiś człowiek
blady, z piętnem smutku w obliczu, i przy-
wórcze dwu chłopaków nucił pieśń weselną,
ale dosyć smutną. Widok ten nie sprawiał
zbyt silnego wrażenia.

Patrzyłem na ten obraz ciekawie, lecz zimno.
Icek, choć skryty chmurą świetlaną i dymną
I poważny na śmieciach, jako przed ołtarzem,
Był dla mnie tylko Ikiem, ubogim waciarzem.
I w innych nie widziałem nic poetycznego.
Zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzegą
Z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia.
Próżno od blasku nowin i od świec płomienia
Śniade lica ich brały tajemnicze piętno:
Żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną.

Po chwili śpiew ucichł, a uroczystość
przeniosła się do przyległej salki, gdzie sie-

*) Tak we wszystkich wydaniach od r. 1887.
do 1900.; widoczny błąd drukarski zamiast: „nie-
biosów“.

działa zalana łzami oblubienica w otoczeniu niewiast. *Chazen* przystąpił do niej, wznosił nad nią ramiona, przypomniawszy jej, że jest sierotą, że ojciec jej już dawno leży na cmentarzu pod ciężkim kamieniem i że w tej uroczystej chwili zabraknie jej jego błogosławieństwa. Przytomni wybuchnęli na to głośnym płaczem, a *chazen* zaczął wśród powszechnego lamentu śpiewać ową pieśń za umarłych, zaczynając się od słów „*El mole rachmin...*“

Naprzód, choć łzami wezbrana,
Pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana
Ból serdeczny, rozwagi wstrzymywany siłą; —
Tak płacze syn dorosły nad ojca mogiłą;
Potem, przesiąknięty smutkiem, który z grobów
Traciła po iskieńce wiarę i nadzieję, [wieje,
Rosła w moc i, porwana zamętem boleści,
Topniała w łzach gorących i skardze niewieściej.
Już nie jednej mogiły, lecz grobów miliona
Stała się głośną płaczką i z bolu szalona
Biegła nad cmentarzami zawodzić staremi,
Nad kośćmi Izraela, co po całej ziemi
Rozsiane są, jak piasku bezpłodnego ziarna, —
I nad tem, że ta siejba będzie może marna,
I nad tem, że na grobach chwast wyrasta głuchy,
I nad tem, że skarłały słabe synów duchy
I że ta noc niewoli tak długa, tak długa!
Już jej nic nie więziło; rwała się, jak struga,
Kiedy po burzy w rzekę zmieni się spienioną.
Śpiewak miał iskry w oczach i drgające łono,
A czoło, które odkrył, w tył zsunawszy czapkę,
Ciekło potem. — Śpiew wzruszył nawet starą
Którą paraliż trupem uczynił i skałą: [babkę,

Szkoło jej zrenić, napoły martwych, zapotniało.
Wszyscy w izbie płakali, zdjęci wielkim żalem.
A kiedy chazen wspomniał świętą Jeruzalem,
Matkę, która, choć zdala białą twarzą świeci,
Od wieków już umarła dla swych pierwszych dzieci.
Gdy wspomniał bezlitosne losów okrucieństwo,
Nędzę, prześladowanie, tułactwo, męczeństwo
I szczęście, utracone na zawsze, na zawsze:
Boleść stała się żywszą, rany serca krwawsze,
Po izbie szal rozpaczy powiał tchnieniem dzikiem
I zawrzała ogromnym, beznadziejnym krzykiem.

Potężny śpiew wzruszył nietylko gości
weselnych, ale i poetę, który słuchał zdala. Ci
ludzie, którzy przed chwilą wydawali mu się
zbiorowiskiem zwykłych, codziennych, a wcale
niezajmujących postaci, teraz, gdy zanosili
głośną skargę do Boga, gdy wspomnienia
dawnej wielkości i poczucie obecnej niewoli
napiętnowały ich jakąś mieszaniną dumy i roz-
paczy, wzrosli i wyszlachetnili w jego oczach
nad wszelki wyraz :

Nie widziałem już szpetnych plam na baldachimie,
Nie raził mnie strój Ieka, ani Ieka imię,
Znikła dla mnie powszedniość z tych brodatych
[twarzy
I stałem się jak człowiek, co... na jawie marzy.

A kierunek wytknęła temu marzeniu
pieśń chazena, wspomnienia dawnych, szczę-
śliwych czasów, które pozostawały w rażącej
sprzeczności z obecnem położeniem tego na-
rodu, ukochanego niegdyś przez Pana.

Podwórko... Nie! to była już kwietna dolina.
Kędyś u stóp Libanu, co się w niebo wspina
I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał,
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,
Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem,
A palmy ochładzały wachlarzami z liści.
Między ziemią i niebem nie było zawiści;
Twarz Jehowy patrzyła z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta;
Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu pływał zapach nardu i szafranu.
Strumień jak wąż rozwijał srebrnołuskie sploty,
A gwiazdy tak błyszczwały, jak szabaśnik złoty...

Obrazek to tak piękny, tak w każdym szczególe wykończony, że chyba nic nie można mu zarzucić. A jednak spotkał się z zarzutem z powodu zakończenia, które, jak wiadomo, jest powtórzeniem wiersza z pierwszej części poemaciku. „Kiedy wszystko tak wyszlachetniało pod wpływem śpiewu, niepodobna, aby ten jeden szczegół pozostał niezmiennym“ — twierdził jeden z najpoważniejszych krytyków naszych. Tak, ale nie trzeba zapominać, że z tego właśnie powodu także to porównanie przestało być trywialnem — i ów „szabaśnik złoty“ nie był już dla poety przedmiotem lekceważenia, pogardy, bo i on przeistoczył się w jego marzeniu tak, jak brudne podwórko zmieniło się w cudowną dolinę u stóp Libanu. Zarzut jest zatem niesłusznym, choć i bez odparcia go trzebaby przyznać, że „*El-mole rachmim...*“ jest jeduym z brylan-

cików najnowszej poezji naszej i to brylancikiem najczystszej wody.

Nie wyczerpaliśmy materiału bynajmniej, a jednak i z tej małej cząstki utworów, przytoczonych lub streszczonych, widać chyba dostatecznie, ile najrozmaitszych motywów poruszyć, — jakie mnóstwo najróżnorodniejszych uczuć wysnuć umie Gomulicki z powszedniego, a na pozór tak mało poetycznego życia miejskiego. Nie znaczy to wcale, że zna dobrze tylko to życie lub że nikt inny przed nim nie opracował tego tematu poetycznie; owszem, ale u żadnego może z naszych współczesnych poetów niema w tych opisach takiej różnorodności i — powiedzmy śmiało — takiego mistrzostwa, jak u Gomulickiego.

Kiedy przy pisaniu tych słów przeglądam po raz nie wiem już który te znane mi tak dobrze obrazki, doznaję wrażenia podobnego, jak na widok owych rojnych tłumów, których życie przedstawiają: gdy patrzysz na nie zdaleka, z zimną ciekawością, widzisz tylko barwne szaty, mniej lub więcej ładne kształty i widok ten zabawi cię może, ale nie ogrzeje, nie wzruszy; jeżeli jednak twem spojrzeniem będzie kierowała nie ciekawość, lecz serdeczne współczucie, wówczas odsłoni się przed tobą widok nowy — zapomnisz o różnorodności szat i kształtów, a zajmiesz się tragedią uczuć i myśli, która się rozgrywa w sercach wszystkich, małych czy wielkich, biednych

czy bogatych. I Gomulicki wydaje się niekiedy zimnym, obojętnym — ale spojrzysz pilnie za tę zasłonę obojętnych na pozór rymów, a sercem odczujesz tam serce gorące, współczujące z każdym nieszczęściem, i umysł trzeźwy wprowadzie, ale bystry i wzniosły, który ujął to potężne uczucie w potężniejsze jeszcze karby, jest jego panem i kieruje nim według swej woli. Czasem pozwoli mu wybuchnąć silniej, czasem przytłumia je zupełnie — ale zawsze i rozum i serce są razem, w zupełnej zgodzie i harmonii. Toteż wiersze Gomulickiego mogą nie tylko rozgrzać, ale i poczyć — i taką piękną naukę daje on miastu. On na nie, jak ów „smutny myśliciel“ w jednym z jego obrazków („Zmrok“)

Patrzy z miłością. „Idziesz-że ty z Bogiem,
(Mówi on), grodzie swawolny, lecz dobry?
Czy umiesz bywać w jałmużnie rozrzutnym?
Czy jesteś sercem bogaty i chrobry?
Czy niesiesz radość i pociechę smutnym?
O! bo nie dosyć, żeś wymiótł ulice,
Rzeźb koronkami zahaftował mury,
Gazowych światel zatlił błyskawice
I wieżom kazał zatrzymywać chmury.
Nie dość, że mawiasz w kościele pacierze,
A dziadom sypiesz grosze i srebrniki,
Że ciebie Chrystus malowany strzeże
I żeś powiesił na piersiach krzyżyki, —
Potrzeba jeszcze, byś w sercu miał Boga!“



ANDRZEJA NIEMOJEWSKIEGO

„POLONIA IRREDENTA“

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1207 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.
1968

POLYNIA FRIGIDA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1207 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.
1968

Pod tym włoskim napisem wydał A. Niemojewski, jeden z najmłodszych naszych poetów, pięć zbiorów oryginalnych, patryotycznego zapału pełnych poezji *). Co jednak oznacza ten napis?

Poeta wziął go z nazwy włoskiego stowarzyszenia „*Italia irredenta*“ (= łać. *in-re-dempta*, nieodebrane, niewyswobodzone Włochy), które zawiązało się po kongresie berlińskim w roku 1878., a za cel postawiło sobie połączenie z królestwem włoskim tych wszystkich krajów, w których przeważa żywioł włoski, jak Istrii, południowego Tyrolu i t. d. Niemojewski, przenosząc tę nazwę do stosunków polskich, nie miał na myśli żadnego formalnego związku, lecz objął nią ludzi, których ideałem

*) Pierwsze trzy, wydane we Lwowie w r. 1895., noszą oprócz napisu ogólnego tytuły następujące: I. Podziemia, II. Łuny, III. Ziemia obiecana — czwarty wydany w Krakowie 1896. „W ciszy wiejskiej“, „Stolica“ i „Ptaki burzy“ — piąty (tamże t. r.). W r. z. ogłoszony „Wybór poezji“ Niemojewskiego z powodów cenzuralnych podał tylko nieliczne wyjątki z tego cyklu. Obecnie wyszedł (Kraków 1901.) zbiorek nowy pod napisem pierwotnym, jest to jednak tylko przedruk cyklów „Podziemi“ i „Ziemi obiecanej“ z nowym wstępem i z dodatkiem dwu obrazków „Z wojaczki polskiego chłopca“.

jest wolna, swobodna Polska i którzy nie żałują ani poświęceń, ani trudów, aby umożliwić i przybliżyć urzeczywistnienie się tego ideału.

Ale cóż to za ludzie? Czy to będą przedstawiciele wszystkich warstw i wszystkich zawodów; magnaci i lud ciemny, szlachta i mieszczaństwo, wykształceni i prostaczkowie? Czy poeta obejmie tem pojęciem cały naród i wybierze na bohaterów tych, którzy przewyższają ogół zapałem, sercem gorącym i gotowością do wszelkich poświęceń dla sprawy wolności, bez względu na ich społeczne stanowisko? Nie — Niemojewski jest pod tym względem pesymistą i prawdziwy patryotyzm widzi tylko w ludzie wiejskim i roboczym, w tych szarych tłumach, dotychczas zaniebanych i lekceważonych, w których jednak drzemie olbrzymia, niepokonalna siła; inne warstwy uważa za martwe, tknięte jakąś straszną niemocą, która nie pozwala im brać udziału w pracy około odrodzenia narodu.

Nie będziemy się o to spierali z poetą, bo chociaż jest w tem wiele przesady, to ma ona pewne uzasadnienie w stosunkach, istniejących w zaborze pruskim. Tam rzeczywiście szlachta w znacznej części albo się zniemczyła, albo ziemię swe sprzedała komisyi kolonizacyjnej, tam inne warstwy społeczeństwa polskiego „błada niemoc jak zaraza tknęła“, a tylko sam lud polski nietylko nie upada na duchu, nietylko nie wypiera się

swej narodowości, lecz owszem nabiera coraz więcej poczucia polskości, łączy się przeciw wrogom w potężną, zwartą falangę, ogarniającą tych nawet, którzy już się byli zniemczyli lub przynajmniej niewiele dbali o swą odrębność narodową. Te to zapewne stosunki wywołały w autorze ową gorycz, owe przesadne nieco pojęcia, które tak określa w przedmowie:

..... Gdzież panów staropolskie plemię?
Belgom, Francuzom, Włochom sprzedali swe ziemie.
Może, idąc za wieku dziejową oznaką,
W kieszeniach swą ojczyznę wiozą do Monacco...
Napłynęły w kraj cichy tłumy cudzoziemców,
Belgów, Francuzów, Włochów, Moskali i Niemców;
Niby hordy Wandali lub germańskich łowców,
Zalały biedną Polskę legie przemysłowców,
Wprzegając w jarzmo pracy, upodlenia, głodu,
Lud prosty hasłem: wielkiej kultury Zachodu —
Grabiąc, paląc, mordując od granicznych słupów
Pod sztandarem kultury -- dla zysków i łupów!

Gdzież Polska?! — Wszysey uszli, tylko lud roboczy
Pozostał i z swym krzyżem na ramionach kroczy....
On przyrósł mu do barek, zrzucić go nie może!
Dokoła obcych ludów złowrogie bezdroże.
Gdziekolwiek się obróci twarz znękana, blada,
Wszędzie posępnym wzrokiem patrzy nań Zagłada.
Jedno mu pozostało, jeden żar w nim tleje:
Poczucie wielkiej krzywdy, jaka mu się dzieje;
To poczucie niekiedy w płomień się rozpala
I jak wulkan wybucha — na Niemca, Moskala...
Teraz wre gdzieś głęboko ukryte, tajemne,
Odzywając się czasem jak grzmoty podziemne.

Cyniczny świat nie słucha tej burzy ukrytej,
I śmiechem w morza ludzkiego skowity,
Kiedy przeziębionych podmywa złowrogo.
Próżno burzą się fale, świat dąży swą drogą!
Dąży, lecz jak pochylnią toczące się bryły
Spada on do ukrytej dla oka mogiły;
Gdy dobiegnie otchłani w niewstrzymanym pędzie,
Próżno krzyknie: ratunku! — Już zapóźno będzie.

O biedny ludzie polski, ty ludzie roboczy!
Obficie znój twój cieknie, krew strumieniem broczy,
Na barkach brzemień trudu, gorycz w twojej duszy,
Dzieje twe wyśnuł chyba jakiś bóg katuszy...
Ty budzisz się z letargu! Płomiennie dnia znamię
Spędza noc z twojej myśli, szal dźwiga twe ramię.
Uszli z pola magnaci, szlachta i mieszczenie,
Tyś sam został i z ciebie nowa Polska wstanie!
Prawda twoim puklerzem, nędza twoją bronią,
Ból i klęska twym Orłem i twoją Pogonią,
Gdy innych blada niemoc jak zaraza tknęła,
W tobie, o polski ludzie, Polska nie zginęła!

Ustęp ten przedstawia nam jasno i dokładnie, jak Niemojewski pojmuje polską „*irredentę*“. Można się z nim nie godzić w tem pojęciu, można mieć wprost przeciwne, ale nie można oburzać się na niego za to wyidealizowanie patryotyzmu ludowego, bo nigdzie i nigdy nie występuje przeciw innym warstwom społecznym, a boleje tylko nad tem, że w nich nie może dojrzeć tego, co znalazł u robotników i wieśniaków. Co więcej, przedmowa ta jest najsilniejszym, najbardziej drastycznym wyrazem przekonań poety — w samych utworach występują one wyraźnie, wypowiedziane

śmiało, ale ogłędniej i spokojniej. Jeszcze raz
zaś powtarzam, że Niemojewski nigdy nie
przypisuje społeczeństwu naszemu złej woli
lecz mówi tylko o jego niemocy, nieczynności
i apatii. Oto na przykład, kiedy gromada nę-
dzarzy opuszcza swe siedziby, aby w obcej
ziemi, za morzem, znaleźć kawałek chleba,

Patrz, z dworu pan wyszedł i patrzy po tłumie,
Twarz jego latami zorana,
Na kiju się oparł, spogląda w zadumie.
On chciałby ich zwrócić, lecz zwrócić nie umie...
Widzicie? Łzy w oku u pana....

Ta niemoc jest niewątpliwie wstydem,
ale nie jest hańbą – może jednak stać się nią,
jeżeli będzie trwała, utrzymywaną świadomie
i upornie:

Śpisz jeszcze szlachcicu? Lat ile upłynie,
Nim czasy cię zbudzą w twym dworze?
Śpij dalej! Lecz pomnij, gdy w dziejów godzinie
Świat nowy z pogardą twe progi ominie:
Lud orał, załagał ty łoże!

Ale ta pogarda tylko wtedy ich spotka
jeżeli będą jedynie obojętnymi widzami pracy
innych, jeżeli będą beczynnie gnuśnieli, za-
mykając uszy na wołania i wzywania praco-
wujących już na niwie narodowej. Bo i poeta
woła na nich ciągle i ciągle przypomina im
obowiązki, ostrzegając przed następstwami za-
niedbania ich i przedstawiając, jak brzydkim
i haniebnem jest takie ociąganie się:

Ach zbudź się, paniezu! Patrz, ludzie już w polu,
A ciebie sen cichy kołysze!
Kto prześni czas pracy, obudzi się w bólu!
Gdy cała wieś w znoju i trudzie na polu,
Nie pluniesz na swoje zacisze?

Przejdźmy teraz do właściwej treści.

Najbardziej zajmującymi i ciekawymi — choć pod względem artystycznym nie najlepsze — są dwa pierwsze tomiki: „Podziemia“ i „Łuny“. W nich poezya nasza po raz pierwszy zstąpiła do głębi ciemnych kopalni, do ziejących ogniem hut i wielkich nowoczesnych fabryk, po raz pierwszy oświeciła swym drobnym promykiem potworne maszyny nowoczesne i potworniejsze może jeszcze, straszniejsze życie robotników, którzy pracują przy nich. Rozważając rzecz ze stanowiska historyczno-literackiego, w tem właśnie leży największa zasługa Niemojewskiego, że zdobył dla poezyi naszej pole, zgoła jeszcze przez nią nie uprawiane, o co dzisiaj bardzo już trudno; w ślad za nim stanęła na niem pewniejszą nogą powieść, która przedtem lekko tylko potrącała o życie robotnicze, jakby czekając

„...aż się przedmiot świeży
„Jak figa ucukruje, jak tytoń uleży“.

Dzisiaj, po „Ziemi obiecanej“ Reymonta i „Ludziach bezdomnych“ Żeromskiego, ani huczące

maszyny parowe, ani osmolony, spracowany robotnik nie będą już nowością w piśmiennictwie naszym.

Ale czy ten gruby, szorstki i niewdzięczny na pozór przedmiot wciśnięto tylko przemocą w ramy poezyi, czy uczyniono poezją samą? czy ten węgiel, para, elektryczność, cały wykwit technologii nowoczesnej, to ciemne, nędzne życie fabryczne, pozbawione wszelkich idealniejszych pierwiastków, — czy to wszystko przybrało pod piórem poety tak piękne, artystyczne kształty, żeby w zaczarowanej krainie „niebianki“ — jak Lenartowicz nazwał poezję — mogło zyskać sobie prawo obywatelstwa, a nie musiało przebywać w niej tylko jako dorobkiewicz, lekceważony i ledwie cierpiany? Na to pytanie niech nam odpowiedzą same utwory Niemojewskiego.

Naprzód daje nam poeta ogólny, zewnętrzny obraz życia fabrycznego:

Noc ciemna i wietrzna, lecz księżyc zza chmury
Wychylił zamglone swe czoło
I światłem sinawem kraj oblał ponury,
Zapadłe pustkowia, gdzie pochód kultury
Swe słupy ustawił w okóło.

Na słupach tych czarne widnieją tablice...
Spoglądam... znak śmierci bieleje!
Głów trupich rząd groźny zapadłą ziemię
Otoczył i wytknął dla żywych granicę!
Te godła — kultury trofeje!

Stój! Nie idź za słupy!... Tam ziemia się chwieje,
Za skarby się pomści wydarte!...

Patrz! Jakaż tam rzeka posepnie czernieje?
To ciągnie tłum ludzki!... Gdzie luna jaśnieje,
Na nocną podąża on wartę.

Z lun w dali strzelają kominy-olbrzymy,
Jak maszty korsarskich okrętów,
Jak czarne bandery, tak wiją się dymy —
I groźnie w dal płyną dymiące olbrzymy
Po morzu społecznych zamętów.

Tłum toczy się, wpływa w dziedzińca obszary,
Dym ściele się nisko po piasku,
Wrą grzmoty sortownic, drży dziki świst pary
I ludzie dokoła latają — jak mary
Śród piekła zamętu i wrzasku.

Pierwsze trzy zwrotki wymagają pewnego wyjaśnienia. Przedstawiają t. zw. „trupie pole“, przestrzeń, z pod której wydobyto węgiel, nie zasypując dla oszczędzenia kosztów pozostałych po nim próżnych krużganków; wskutek tego cała taka przestrzeń zapada się ciągle, uniemożliwiając na długi szereg lat uprawę i zagrażając życiu tych, którzyby na niej stanęli. Dlatego otacza się ją słupkami z trupiami głowami celem ostrzeżenia przechodni.

O wiele udatniejszy obrazek miejscowości fabrycznej znajdujemy w tomiku trzecim. Pośród zbóż i łąk stoi na pagórku figura Najświętszej Panny. Przed nią widać w zmroku wieczornym przy świetle małej lampki gro-madkę ludzi, którzy nucą pieśń nabożną, prze-rywana głośnie łkaniem, — to za-pewne wdowy i sieroty po tych, którzy życie stracili w kopalniach i hutach... Fabryki wznó-

szą się niedaleko od wzgórza, dymią ciągle,
a dym ich ogarnia powoli modlącą się gromadkę.

Kędy spojrzeć — Boże, Boże! —
Widne tylko dymów morze.
Coraz wyżej wzbiera, płynie,
Ach! i wzgórek już w nich ginie,
W głąb zapada z tą gromadką,
Z tą figurą i wieńcami,
Nikną ręce nad głowami,
Słychać głosy: „Ratuj, Matko!“
Dym się wzbija, wzgórek słoni —
Wszystko znikło w dymów toni...
A dookoła w głębi siola
Huczy fabryk nocna burza,
Grzmi, chichoce śród tumanów,
Jak ukryty chór szatanów,
Ślepią światła w dymach nurza,
Żoną krwawi gmachów czoła
I, szalejąc dookoła,
Rykiem śmiechu sięga wzgórza...

Niemojewski nie jest symbolistą, a jednak w obrazku tym mimowoli widzi się, a raczej odczuwa, coś więcej niż wierne zdjęcie z natury. Ta gromadka biedaków, modlących się pokornie, otoczona nawet w tej jedynej wznioślejszej chwili swego ciężkiego życia chmurami dymu fabrycznego, w którym nikną nawet dłonie, wzniesione do Boga, ten straszny „śmiech“ maszyn, szydzący z ich modlitwy i zapowiadający może nowe nieszczęścia, nowe ofiary, — to wszystko wychodzi daleko poza ramy obrazka rodzajowego i staje się straszli-

wym obrazem beznadziejnej doli robotniczej. A dola to rzeczywiście straszna. Zaglądnijmy do statystyki, a ona nam powie, że n. p. w r. 1894. na 101.098 robotników, którzy pracowali na Śląsku Górnym, uległo wypadkom śmiertelnym 123, ciężkie rany otrzymało 927, a lżejsze 6.706! Znaczy to, że co trzynasty robotnik ulega w ciągu roku mniej lub więcej ciężkim wypadkom, czyli, że każdy robotnik ulega jakiemuś wypadkowi w przeciągu lat trzynastu. Tak okropnych spustoszeń nie czynią nawet wojny, bo n. p. Japonia poniosła w ostatniej wojnie zaledwie połowę tych ofiar dla pokonania olbrzymich Chin.

Ale cóż tak wytępią tych ludzi? co sieje wśród nich tak straszne zniszczenie? Zrozumiemy to, przypatrując się ich pracy.

Oto jesteśmy w walcowni żelaza i blachy żelaznej. Rozpalone do białości sztaby żelaza przesuwają się z maszyny na maszynę, robotnik zaś przysuwa się co chwilę do walców i automatycznie, sam jak maszyna, przykręca walec, cofa się, wraca znowu — dopóki blacha nie nabędzie grubości przepisanej. Dwanaście godzin ustawicznego przysuwania się i odsuwania o kilka kroków może doprowadzić do śmiertelnego znużenia, a jeden krok fałszywy grozi śmiercią lub okaleczeniem. Oto opis pracy takiego „żywego automatu“:

...Donośniej za halą wre hala

Rząd walców w obiegu tam warczy.

Ptak krwawy — to blacha!... Hej, ręce opala,
Porywaj w obcęg, pociągaj ją zdala,
Dopóki ci w piersiach tchu starczy!...

U walców tam postać widnieje tytana,
Po desce on z blachą w przód kroczy,
Powraca i kroczy... Tak stąpa od rana,
Ćwierć wieku tak stąpa!... Twarz znojem zalana,
Złowieszczę palają mu oczy.

O! gdyby stąd ruszył za młodu przez sióło,
W świat kroczył, mknął dalej a dalej,
Ach, byłby już obszedł pół ziemi w około!
Choć lata minęły, zasępił wiek czoło,
Szedł ciągle — nie wyszedł z tej hali!...

Wrą walce, on stąpa po desce miarowo,
Mgła zwolna osiada na oku.
O dziwo! Nie słyszy kół szumu nad głową...
Tak lekko mu, lekko!... Tak świeżo, majowo!
W mgły białej odpływa obłoku...

Jak lubo! Jak cicho!... Mgła w górę się toczy,
W przestworach słonecznych jaśnieje
I niesie go, niesie!... Świat w dole się mroczy...
Jak lekko!... Ach, jasność zalewa mu oczy!...
Z mgłą sunie... z mgłą płynie... z mgłą wieje...

Zawrzały znów walce. Prawica tytana
Kurczowo w obcęg żar chwyta.
Ha, cóż to?... Sen zmroczył?... Krwią ręka zbry-
[zgana ..

Hej, czuwaj! Tu deska... tu deska drewniana
I blacha... Toć słyszysz, jak zgrzyta!

Nie potrzebuję zapewne objaśniać, że biedak ten, znużony jednostajnością pracy, ulega jakiejś prześlicznej wizyi i budzi się z niej dopiero wówczas, gdy blacha, niezgrabnie chwyciona, zdruzgotała mu rękę.

Przejdźmy z kolei do walcowni drutu żelaznego. Tu praca podobna, ale jeszcze niebezpieczniejsza: drut wybiega z pod walców z ogromną szybkością, robotnik musi w lot uchwycić go kleszczami i wsunąć pod walec następny, bo w przeciwnym razie drut owija się około niego i pali mu ciało. Najniebezpieczniejszą czynność ma robotnik, który odbiera drut już gotowy z pod ostatniego walca: musi chwycić go kleszczami i układać na ziemi w około siebie, sam stojąc w pośrodku żarzącego się kruszcu, jakby w wianku. Jeden fałszywy ruch ręki — a czeka go śmierć straszna.

Znów w głębi olbrzymia rozwarła się hala

I walców rząd głucho szaleje.

Rozlega się sygnał. Tłum piece okala,

Kleszczami żelazne zasuwę odwała,

Głęb hali do stropu jaśnieje.

Z czeluści potworny blok sunie, łbem błyska,

Pogląda, gdzie walców zapora.

U warg ich stalowych przesunąć chciał zbliżka.

Warknęły transmisye — skier kilka w dal błyska,

Już wargi wchłonęły potwora.

Po chwili, jakgdyby tem cielskiem dławione,

Rozwarły swą paszczę na nowo,

A ono wybiegło zgniecione, wzdłużone

I, w belkę zmieniawszy swe kłęby czerwone,

Płynącą uchodzi w dal głową.

Nie ujdziesz, potworze!... Dokoła się skrada

Za cieniem cień, zbrojny kleszczami.

Tam drugie grzmiały walce! O biada ci, biada!

Porywa, zaciąga tam ciebie gromada,
Już zgrzytasz pomiędzy wargami!

Na chwilę mrok zapadł. Kurz czarny się wzbija
I warczą transmisye ponuro.
Tam trzecie grzmiały walce! Już z warg ich drut-
[zmija
Wystrzela, w powietrzu po hali się zwija,
Znów wolna, lecz wściekła torturą!

Ty końca chcesz męki?... Rozpierzchła gromadka
Umknęła w głąb hali strwożona.
Ulatasz, dobywszy sił swoich ostatka...
Czy widzisz?... Znów jakiś cień sunie z ukradka
I groźne podnosi ramiona...

Porywa kleszczami, unosi nad czołem
I paszczy podaje ponurej...
Już piersi płomiennem owiałaś mu kołem,
To do nóg się słaniasz i musnąć chcesz dołem...
Raz tylko... za wszystkie tortury!...

On dumny!... Złowrogo w ciemnościach wzrok płonie,
Na piersiach założył swe ręce...
Darenie dygocąc szalejesz przy łonie..
On chłodny!.. Z pogardą pochyła w dół skronie
I patrzy, jak wijesz się w męce...

O!... przymknął powieki... opuszcza ramiona...
Nie czuwa... usypia w swej dumie!..
Ach, gdyby pierś musnąć, przypełzać do łona!...
Raz tylko, raz jeden! Mgły lekkiej zasłona
Okryje... Nie dojrzą tam w tłumie...

Tak... bliżej... skroń opuść... pierś pochył... tu
[blisko..

Ach, chwilkę... snu ona nie spłoszy...
Leciuchno przez pierś twą przewinę pierś ślizką...

Tak.. teraz! Już skrętów syknęło ognisko...
Pójdź w uścisk potwornej rozkoszy!...

Tyś sądził, żeś panem nad chytrym żywiołem,
Gdy u stóp pokornie się wije?...
Jęknąłeś!?!... Hej, zemną! a dalej, a kołem!
W objęciach powlokę, aż będziesz popiołem!...
Już umilkł?!?!... Ach, czemu nie żyje!!...

Grzmiały walce, wre hala, drżą gmachu posady,
Pomyka ognisty wąż dalej.
Śród wrzasków nieludzkich przypadły gromady...
Wzrok stanął mu słupem... na wargach krwi ślady...
Odejdźcie!... Trup leży śród hali...

Przytoczyłem umyślnie obrazek ten w całości, aby czytelnik mógł sam, nie zaglądając do książki, wyrobić sobie pojęcie o kompozycji tych utworów, a przytaczanie samych tylko cząstek nie wystarcza na to. Teraz mogę już być zwięźlejszym.

Idźmy więc dalej, bo przechadzka nasza po tem „piekle dni teraźniejszych“, jakby powiedział Krasieński, nie skończyła się jeszcze.

Z hut przejdźmy teraz do kopalni węgla i przypatrzmy się choćby pobieżnie życiu górników.

Sprowadza nas tam olbrzymia maszyna parowa, podobna do potworного kota; jego „kark, liną szybową owity“, to podnosi się, to opada, wprawiając w ruch cały szereg wózków, które kolejno spuszcza się w głąb kopalni lub wynoszą z jej wnętrza czarne bryły węgla. Z kagańcem w ręku wsiadamy

w taki wózek i pędzimy lotem błyskawicy
w dół.

Kaganiec jak gwiazda u bladej drży skroni,
Jak glucho, jak czarno, jak wrogo!
W głąb lecim i lecim, a głębie mrok słoni..
Czy brakło na ziemi dla ludzi już błoni,
Czy tam się pomieścić nie mogą?

I lecim w głąb ziemi... Kaganiec ścian trąca,
A w koło brzmi cicho głos rzewny:
„Ty chciwy człowieku! Czy nie żal ci słońca?
Czy wrócisz?“... Któż pyta?!... My lecim bez
[końca...]
Jak ludzkość... na szali niepewnej!

Wreszcie stajemy w podziemiach. Tu, jak
rój bajecznych gnomów, przesuwają się koło
nas górnicy z lampkami, przelatują szeregi
wózków i wre praca, oblewająca czoła potem,
a przygaszająca wszelkie porywy ducha. O, bo
tu nikt nie pyta „o słońca, o nieba“, tu
nie doszły wzniosłe myśli wieszczów — tu my-
śli się tylko o chlebie — pracuje się, aby móżdż
coś zjeść, a je się na to, aby mieć siły do
pracy. To straszne życie, zamknięte w błędnem
kole pracy bez wytchnienia, otaczają nadto
ustawiczne niebezpieczeństwa. Oto nagle zja-
wia się w kopalni woda, cała „rzeka pod-
ziemna“ wybucha z węglowej ściany. Natych-
miast zakładają w otwór „stalowe pijawki“
pomp i zaczyna się walka z wrogim żywio-
łem; ale to nie usuwa jeszcze niebezpieczeń-
stwa, bo wody przybywa ciągle, wody, która

groźna jak potwór, strzegący dostępu do czar-
nych dyamentów,

Jak lwica pierś wzdyma: ryknęła, szaleje,
Wre, bryzga pianami białemi,
Za chwilę — swobodna — chodniki zaleje,
Stuletnie krążganki, bogactwa, nadzieje,
I szybem wybuchnie z podziemi!

Wtedy biada kopalni, biada tym, którzy
w niej pracują, bo straszny żywioł pomści się
na nich straszliwie za swą długą niewolę!

Ale oprócz wody zagraża kopalniom ży-
wioł, straszniejszy jeszcze i niebezpieczniej-
szy — ogień. Walka z nim pociąga za sobą
prawie zawsze olbrzymie ofiary w ludziach,
nie mówiąc już o tem, że często niszczy całe
kopalnie. Posłuchajmy, jak to się odbywa:

Pomnicie, górnicy, tę walkę z żywiołem,
Gdy w koło szalały wybuchy?
Trzy mury wstawały nad żarem, popiołem,
Trzy ściany wstawały i rosły tam kłębem,
Tamując płomieni podmuchy!

Gdy padły szeregi, zduszone przy murze,
W lot nowe szeregi nadbiegły!
Walczyły w płomieni duszącej purpurze
I piersią swą szczyrby słońiły na murze,
Aż ścianą żywioły obległy!

Dziś stygną pożary, ciemnieją jasności,
Ha, kiedyś zwalimy te mury,
Przedzierać się będziemy przez gęste ciemności,
A może tam nogą potrącimy o kości,
Grzebane w mogile ponurej!...

A oto jeszcze jeden obrazek: Chodnik do-
wadzono już do końca pokładu, dalej prze-

bijać się już nie warto, bo wszystkie skarby już wydobyto z ziemi w tem miejscu. A jednak ruch nie ustaje tam jeszcze:

...Śród mroku drżą lampki dokoła?...

Kto sklepień podpory tam wali?...

Szaleńcy! przygniotą was drżące skał czoła!

Trzask słychać! Dłoń drzewca skał wstrzymać
[nie zdoła...

Nie słyszą!... Rabunek wre dalej!...

W węglowych pieczarach latają jak duchy,

Unieśli na barach podpory...

Za nimi w podziemiach zahuczał grzmot głuchy,

Powiały chodnikiem piekielne podmuchy...

Już znikli, jak nocne upiory!

Pękają opoki, podziemie zapada,

Głaz pryska i bucha płomieniem...

Ucieka do szybu górników gromada,

Za nimi chodnikiem podąża Zagłada

I lampki im gasi swem technieniem.

Cóż ten obrazek przedstawia? Oto sklepienie chodnika, już opuszczonego, podpierają belki, które przedstawiają pewną wartość. Zarząd kopalni pozwolił wydzierać je na ochotnika; więc chociaż taki rabunek grozi śmiercią, ponieważ sklepienie, zapadając się, może zmiażdżyć śmiałka, biedni górnicy podejmują się chętnie tego zadania, bo uśmiecha im się skromna nagroda za straszne niebezpieczeństwo, na jakie się narażali.

A przecież ci ludzie biedni, lekceważeni przez ludzkość, tak tragiczni przez to, że usta-

wiczne narażając swe życie, ażeby mózdz zabezpieczyć je sobie i swoim, — ci ludzie myśla nietylko o własnym losie, nietylko o własnem szczęściu, ale iskierką myśli, ledwo tlejącą, przez nikogo z „wielkich“ nigdy nie podsycałą, obejmują kręgi szerokie, cały naród, całą Ojczyznę.

Nie są to jednak jedyni z pośród maluczkich i biednych, w których piersi nie wygasły ideały narodowe, — a raczej, powiedzmy ściślej, w których ideały te zaczynają się budzić. Pomiedzy ludem wiejskim szerzy się także poczucie narodowe z każdym dniem bardziej, a wraz z tą świadomością powstaje także inna, logicznie z niej wypływająca, ale o wiele ważniejsza i bardziej pocieszająca: świadomość obowiązków społecznych. Ten ruch, pulsujący najżywiej pod zaborem rosyjskim i pruskim, przedstawia Niemojewski w czwartym tomiku swego zbioru, noszącym napis: „W ciszy wiejskiej“.

I tu, na wsi, panuje bieda i ucisk. Nie raz, gdy przyjdą nieurodzaje, gdy „próżno sierp dzwoni, gdy darmo pług orze“, brak nawet nędznej strawy codziennej i głód wyniszcza nędzarzy. Więc z rozpaczą w sercu, ale w głębokiem poczuciu konieczności takiego kroku, opuszczają swą ziemię, na której „wieków dziesiątek siłami wspólnemi walczyli o dolę swą ciemną“, której trzymali się instynktownie, z „rozpaczą rośliny“, a z któ-

rej teraz wygania ich widmo głodu. Rozumowanie ich krótkie: „żyć pragną, tu ginie ich plemię“ -- muszą zatem szukać chleba u obcych.

Wierszyk p. n. „Zapomniana mogiła“ wskazuje powolne zacieranie się różnicy w zapatrywaniach t. zw. „inteligencji“ a ludu. Oto w lasku przydrożnym wznosi się mogiła jakiegoś „pana“, który podczas ostatniego powstania zginął od kuli moskiewskiej. Lud opowiada, że upiór jego opuszcza niekiedy mogiłę i w szacie zbitej krwią, błądzi po polach, strasząc ludzi. Ale wieśniacy inaczej już zapatrują się teraz na sprawę wolności, jak przed laty, i do upiора, który za życia był im nienawistny, przemawiają w innym zupełnie tonie:

Ty cieniu, niech lekką ci będzie ta ziemia,

Śpij w Bogu! Cóż winni my tobie?

Wszak coraz to bardziej nam dola się ściemia...

Tyś walczył o ziemię, nas nie chce twa ziemia!

Och! lepiej nam było leż w grobie!

Czy prosisz o pamięć dla swojej mogiły?

Ach pójdziem oblewać ją łzami!...

O, bodaj w nas były te serca zabity,

Gdy w lasach oddziały z rozpaczą walczyły!...

Ach, ślepych obłudnie wróg nami!...

Idź... idź już... Pojmuję, co znaczą twe rany!

Pojmuję, co z grobu cię budzi!

Tyś stal miał! Ach, bronią nam nasze łańchany!

Śpij, cieniu! Ach, będzie ten łańchman krwią zlany,

Gdy serce się ocknie u ludzi!

Mimowoli przypomina się tu, mocą kontrastu, gorzkie narzekanie poety we wstępie na „panów staropolskie plemię“, kupczące swą ziemią i szukające nowej ojczyzny tam, gdzie może dobrze żyć i hulać — tutaj mamy jeden dowód więcej na to, że Niemojewski nie potępiał całej warstwy, lecz tylko niektóre jednostki do niej należące. Jego „irredenta“, składająca się z ludzi nowych, którzy dotychczas nie brali udziału w życiu narodowym przyjmuje hasła szlachealnych jednostek dawnego pokolenia, rozszerza je tylko i dąży do nich może nieco odmienną drogą: ale hasła i cele jej są te same, a pierwszym z nich, około którego wszystko się obraca i kupi: wolność. Oto na potwierdzenie tych słów urywek z opowiadania starego wieśniaka:

„Człek swoje już zrobił.. Nie zerwał łańcucha,
Lecz targnął.. Do grobu iść może,
Lecz biada tym, którzy wiek życia bez ducha
Za krzywdy swe chwycić nie śmieli obucha —
Kark giąć im, na szyje obroże!

Wolności nie kupisz, nikt jej ci nie sprzeda!
Praw czekasz? O, czekaj wiek nowy!
Nie umiesz ich zdobyć? Ha, nikt ci ich nie da!
Niech nędza cię trapi, niech gryzie cię bieda,
Do kolan chyl, tłumie, swe głowy!

Cóż płaczesz? Milez lepiej! W twarz tobie naplwno?
A cóżeś zasłużył innego?
Toż zgiąłeś w kłęb grzbiet swój!...”

A pojęcia te, którym wyraz daje „Stary Jakób“, powstają w sercach ludu niemal same przez się, pod wpływem ciężkiego losu, pod wpływem niewoli, gniołacej wszystkich. Ta wspólność cierpienia rodzi też poczucie braterstwa: „wiedz, chłopie nieszczęsny, żeś nie sam jest przecie, ból złączył was wszystkich“ — ten ból, który „targa duszę milionów“, łączy też całe miliony w jedną falangę.

Ptak chyży tych krain oblecieć nie zdoła,
Gdzie bracia czekają na ciebie.
Tyś nie sam! Otucha już błysła ci z czoła —
Kto z tobą? Ach spojrzuj, kto cierpi dokoła!
A ilu? Zlicz gwiazdy na niebie!

Temu życiu tłumów, nędznemu, ale świadomemu siebie i pełnemu idealnych porywów, przeciwstawia Niemojewski w piątym tomiku swej „Polonii“ hulaszczę życie „wyższych“ sfer stolicy:

Jak modny Babilon połyska wśród nocy
I w światel się gubi powodzi.
Niech płaczą nad jego murami prorocy!
On drzemie w dnia blaskach, zaczyna żyć w nocy,
Noc-matka twarz zwiędłą odmłodzi.

Życie tych sfer — to tylko gonienie za drażniącą nerwy zabawą, za użyciem wyszukanem a jałowem. Poeta pokazuje nam je w kilku obrazkach, przedstawiających „ostatki“ karnawałowe, kiedy „sto muzyk przy-

grywa wesoło wśród grodu, sto balów wre tańcem“, kiedy wszystko wokoło — szczerze, czy nieszczerze — uśmiechnięte, a wzrok, przyćmiony falą światła, ogarnia tylko morze kwiatów. Sceny te skreślone są ze straszliwą poprostu ironią; obok podłości i głupoty, obok bezmyślności hulanki i łowów posagowych przedstawiają także „patryotyzm“ w takim na przykład rodzaju, jak obywatela, który na znak żałoby od czasów ostatniego powstania zaprzestał.. grywać w karty i powtarza z patosem: „Ja, panie, uznaję ofiary!“, lub grono ludzi, którzy słysząc dźwięki mazura i widząc sunące pary, z dumą narodową pokręcają wiasa szepcząc: „Co? Jeszcze nas dyabli nie wzięli!“ — bo dla nich w tańcu narodowym skupiły się wszystkie ideały patryotyczne.

A tymczasem pośród sali, pełnej uwijających się par, śmiechu wesołego i hucznej zabawy, rozchodzi się straszna wiadomość:

Słyszaleś? Nie ręczę... mówiono na dole,
Podobno to wiedzą od stróży...

Podobno od księży... Wieść biegnie wciąż dalej,
Zachowaj milczenie roztropne...

Mój drogi! Tak sobie do ucha szeptali,
Jakoby dwu wczoraj nad ranem wieszali..

Ach, drogi! To przecież okropne...”

Śmierć dwu nowych męczenników wolności obchodzi część stolicy uroczystym.. balem!

Z takiego zestawienia tych obrazków,
z takiego pojęcia stosunków wynika prze-
śliczne porównanie Wisły z narodem:

...Rwij, Wisło, swe więzy, gryź dumnie swe lody
I zbudź się z zimowej niemocy!
Och, ruszaj fal biegiem w odwieczne pochody
Przez pola, przez wioski, miasteczka i grody,
Grzmij piersią wśród mroku i nocy!

Twój żywioł zhukany przemówi do ludzi
Potężniej, niż głosy proroków!
Sto mrozów twej głębi przez sto lat nie studzi,
Śród więzów lodowych twój nurt się wciąż budzi
I ciągle się dźwiga z swych oków!

O, czemu wśród ludzi ta siła nieznana,
Czy gnuśna śpi w lodach i śniegach?
Och, czemuż dłoń ludzka do swego kajdana
Tak rychło przywyka, jak brytan do pana?
O Wisło! Tyś wolna w swych brzegach!

Gdy wiosna ci szepnie powiewy swobody,
Daremnie kry piętrzą się w góry.
Gdy śpiewak chce budzić upadłe narody,
Wnet taki mu śmiechem chcą parsknąć w zawody:
„W lazury mkniesz, ptaszku, w lazury!“...

O, nie budź się, Wisło, pod lodów powłoką
I nie rwij daremno swych oków!
Och, jeszcze lód w sercach zalega głęboko,
Och, jeszcze ślepotą powleka nam oko
Najgrubszym ze wszystkich obłoków!

Och, jeszcze nadzieja w kałuży upadku
Skróń tarza i bryzga w twarz błotem!
Och, jeszcze daleko do cierpień ostatku,

O Wisło, my dotąd nie lepsi w upadku,
Ach, jeszcze nam zlewać się potem !

Na brzegach twych siedziem i mętną żrenicą
Ku miastu spojrzymy z rozpaczą,
Przelewać łzy będziem nad naszą ziemią,
Nad ludem i w górze huczącą stolicą —
Z rozpaczą, z bezbrzeżną rozpaczą !...

Drugą część piątego tomiku zajmuje mały obrazek p. n. „Ptaki burzy“. Jest to bez wątpienia najpiękniejszy ustęp całej „Polonii“, a jeden z piękniejszych w naszej współczesnej poezyi; więc warto przypatrzeć mu się bliżej. Obrazek ten składa się ze wstępnego sonetu i trzech części. Wstęp wyjaśnia nam znaczenie napisu: jak małe ptaszki, trącające fale morza białą piersią, zwiastują burzę w przyrodzie, tak szeregi męczenników, dławione na sznurach szubienic przez kata tyranów, zwiastują dziejową burzę w społeczeństwach. I oto, jakby ilustracya do tych słów, staje przed nami obrazek z życia tych męczenników.

Jest ich dwoje, oboje młodzi, oboje spragnieni innego, idealniejszego życia, tęskniący za zmianą gniotących ich stosunków, za swobodą. Ona marzy:

„Wy róże krwawe, lilijki niewinne,
I nasze życie jest życiem rośliny !
Może, gdy na was czeka
Zimna ręka człowieka,
Śnicie sen, że wiatr - kochanek
Wplecie was w powietrzny wianek

I ramionami wiejnemi
Uniesie z ziemi!...
I ja, różyczka siostrzana,
Chciałabym, wichrem porwana,
Ulecieć z ziemi
Wichrem, coby świat zamącił,
Wiek dzisiejszy z globu strącił
I dał ludziom dusze inne! —
Ginać — to wiedzieć: za co?
Przeminać — to wiedzieć: na co?
Te pytania jak złe duchy
Niepokoją mnie dokoła,
Każdy powiew wiatru woła,
Szepcą wszystkie kwiatów puchy:
Zakwitnąć — zginać —
Przeminać!“

On odczuwa w tych marzeniach dziewczyny bliską sobie, bratnią a wzniosłą duszę, więc powiada do niej:

„Ty śniesz o innym bycie
Na ziemi?
Ty wierzysz w lepsze życie,
Zdobyte ducha siłą,
Cierpieniem i mogiłą,
Prochami naszemi?
Nie lękasz się tej burzy,
Która w niszczącym uścisku
Ciebie zanurzy,
Odrzuci jak zwiędły kwiat róży
Po pierwszych czynów przebłysku, —
Nie da ci drugiego brzegu
Dopłynąć
I każe w połowie biegu
Zaginać?...

Nie drżysz, że wkoło ciemno,
Gdy w jasność wierzyłaś?
Czy jeszcze śniesz tak, jak śniłaś?
Ludzki promyku!
Idź w burze ze mną!“

Potem, po latach, widzimy ich już połączonych, otoczonych niebezpieczeństwami, na jakie zawsze podobni im przedśannicy burzy sa narażeni. Ją trwoga ogarnia:

— „Dziecko ty drżysz jak liść?“
— „Ach, ciemno tu jak w grobie...
Luby! Nawet przy tobie
Straszno mi tędy iść!“ —
— „Może chcesz wrócić tam?“
— „Drogi, zapóźno już!
Z pomiędzy mgieł i burz
Nie wracać nam!“

Wówczas on nie może pojąć, dlaczego żona jego płacze i boi się pomimo całej swej odwagi i rezygnacyi. Ale ona nie płacze nad sobą i nie boi się o siebie, tylko o swoje dziecko, o swego synka. On tedy stara się ją pocieszyć:

„Droga, zły przejdzie czas!“
— „Daremnie łudzisz się...
Patrz... ktoś tam skrada się...
O luby, śledzą nas!“

Przeczcucia nie zawiodły jej, szpieg nie pracował napróżno... W ostatnim obrazku widzimy młodą matkę w więzieniu, śpiewającą swemu synkowi ponurą, straszną, rozdzierającą swą treścią piosenkę:

..Śniesz, malutki, sen cichutki,
Na twarzyczce uśmiech błogi,
Śniesz świat piękny, jasne drogi,
Gdzie nie błądzą ludzkie smutki...
Śniesz o maju w cudnym kraju,
Śniesz za oknem dni radosne,
Śniesz, jak ojciec, wieczną wiosnę,
Sen cichutki, sen świeżutki!
Pierzchnie wkrótce uśmiech błogi,
Spytasz, gdzie twój świat wietrzany,
Ujrzysz wkoło mroczne ściany
I kaganka połysk wrogi...
Brzęk żelaza ciebie zbudzi,
Ścian zapytasz przeraźliwych :
Ach, gdzie jesteś ?.. Zdala ludzi...
Zdala marzeń... W grobie żywych !...
Gdzie twój ojciec ? Ojca niema...
Och, niedobry on, mateńko !
Ciszej... matka cię potrzyma...
Patrz, malutki, przez okienko !
Może słup tam ujrzysz biały,
Kilku ludzi, ojca swego...
Z łopatami teraz biegą,
Bo już owisł posiniały...
Chwytasz kraty... Sza, dziecko !
Mury głuche... wkoło ciemno...
Nadaremno... Nadaremno...
Oni milcząc celę miną !...
Pytasz, czemu świat nas grzebie,
A mogiła jemu rośnie ?
Bo twój ojciec śnił o wiosnie...
Śnił dla ludzi... nie dla siebie !...

Ta matka, pokazująca synkowi przez kratę
więzienia zsiniałego trupa ojca, wiszącego na
szubienicy za to, że „dla ludzi śnił o wio-

śnie“ — to scena tak straszna, że podobnej od czasu wydania III. części „Dziadów“ Mickiewicza poezya nasza, o ile mi wiadomo, nie posiada. A i tutaj, podobnie jak Sobolewski w „Dziadach“, mógłby poeta wołać do Chrystusa, że ofiara tego „ptaka burzy“ jest „nie tak wielka i święta, lecz równie niewinna“, jak ta, którą on poniósł dla ludzkości — bo przedmiot opowiadania nie zmienił się wcale, przesunął się tylko w bliższe nam czasy...

Mówiąc o „Dziadach“ nie myślę naturalnie zestawiać tego dzieła z „Polonią irreudentą“ pod innym względem, jak tylko co do podobieństwa motywów treści; ani bowiem potęgą uczucia, ani doskonałością formy nie zbliżył się Niemojewski do tego arcydzieła naszej poezyi. Owszem, słuszność każe wyznać, że nawet w porównaniu z utworami współczesnych nam poetów „Polonia“ wydaje się słabą i grzeszy niewyrobioną, zbyt jednostajną formą wiersza.

A jednak cykl Niemojewskiego posiada znaczenie trwalsze i większe, niż cacka całego szeregu naszych „mistrzów formy“, pokrywające pięknie brzmiącemi słowy bezdenną próżnię uczucia i myśli. Niemojewski otworzył przed nami zupełnie nowy, nieznany dotychczas w poezyi świat pojęć i wrażeń, oświecił silnem, gorącem uczuciem całą olbrzymią warstwę społeczeństwa naszego, której do-

tychczas nikt nie umiał czy nie chciał dojrzeć, pokazał jej cierpienia i dążności, pokazał nam w nich braci nietylko z rodu i imienia, ale z przekonania i ideałów, zbliżył nas do nich, a przez to zbliżenie podniósł nas samych i uszlachetnił. Dziwna otucha wieje z tych kart jego wierszowanej martyrologii ludu naszego, które mówią do nas siłą faktów, że pomimo całego ucisku nietylko żyjemy, ale żyjemy coraz szlachetniej, że może gnijemy i rozpadamy się u góry, ale zato tem potężniej rozwijamy się u dołu, zyskujemy podstawę, której nic nie wzruszy, i że nie może zginąć sprawa, która ma tylu i takich orędowników.

Tą ideą swoją wznosi się dziełko Niemojewskiego wysoko ponad wymuszkane wiersze współczesnej naszej poezyi.





A. Niemojewski i Fr. Nowicki.



WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII

„TATRY“.

FRANCISZKA NOWICKIEGO



Niema dziś zapewne dwóch zdań o tem, że Tatry to nie tylko najpiękniejszy, ale i najbardziej poetyczny zakątek wszystkich ziem dawnej Polski — a jednak jak dziwnie wiele upłynęło czasu, zanim przyznano im prawo obywatelstwa w poezyi. Darmo szukalibyśmy choćby wzmianki o nich w utworach Kochanowskiego, Szymonowicza, Potockiego lub Krasickiego; Hussovianus opiewa nasze bory nizinne, Klonowicz Ruś Czerwoną, Trembecki Zofiówkę, Polankę i Powązki — ale aż do XIX. w. Tatrami nikt się nie zajmował. Przyczyny należałoby szukać może w tem, że przedewszystkiem cała nasza klasyczna czy pseudo-klasyczna poezya, idąc śladem starożytnych, bardzo mało zajmowała się przyrodą (wymienione powyżej utwory należą w niej do wyjątków), powtóre zaś okolica tatrzańska zbyt była oddaloną od ognisk życia narodowego i wogóle mało zwracała na siebie uwagi.

Dopiero poezya romantyczna „odkryła“ całe bogactwo piękności tatrzańskich i zaczęła z nich czerpać pełną ręką. Poetyckim Kolum-

bem tej okolicy był Goszczyński, którego „Sobótka“ zawiera pierwsze w naszej literaturze opisy Tatr; w dwa lata po nim, bezpośrednio po napisaniu „Irydiona“, wybrał Kraśński podhale tatrzańskie za miejsce akcji w jednej ze scen swej niedokończzonej „Wandy“. chociaż sam nigdy tam nie był, w kilka zaś lat później opisuje Wasilewski w drobnym wierszyku wrażenia, jakie widok łańcucha tatrzańskiego w nim wywołał. A potem znowu znika z poezyi ten motyw na długo, albo występuje (n. p. Pola) tylko przelotnie. Dopiero w roku 1860 wychodzi w Krakowie „poemat“ M. Stęczyńskiego, w którym autor wyłącznie Tatrom poświęcił nie tylko swoje „pióro“, ale i swój „rylec“, bo ozdobił książkę szeregiem widoków tatrzańskich swej własnej pracy, a w sześć lat później wydał we Wiedniu „Podtatrzanin“ (K. Maniewski) kilka opisowych utworów pod wspólnym napisem „Tatry“. Nie zyskała jednak wiele na tych utworach ani poezya ani sława turni tatrzańskich, bo te wytwornie wydane książki cieszyły się zupełnie zasłużonym brakiem popularności; nie poezya też miała wyjednać szeroki rozgłos Tatrom, owszem, zbliżyła się ona do nich w sposób zupełnie zwyczajny i prozaiczny, kiedy jej adeptci zwabieni sławą Zakopanego przybyli tam szukać wypoczynku dla rozdrażnionych nerwów lub zdrowego powietrza dla chorych płuc.

Ukazanie się w „Bluszczu“ w roku 1879 cyklu poezyi Asnyka p. t. „W Tatrach“ było dla młodszej generacji naszych poetów hasłem do gorączkowego zajęcia się tym samym przedmiotem — i odtąd przez długi szereg lat, aż do najnowszych czasów, nie było prawie zbiorku poezyi, w którymby chociaż jeden wierszyk nie był poświęcony opisowi turni i jezior tatrzańskich lub nie wyrażał wielorakich uczuć, jakie one w poecie wywołały. W tym właśnie czasie ogólnej „tatromanii“, w roku 1886, ukazał się w „Kłosach“ zbiorek poezyi Franciszka Henryka Nowickiego p. t. „Tatry“, należący do najlepszych i najpiękniejszych w tym rodzaju ze wszystkich, jakie wydała poezya nasza po roku 1863.

Mając tak niezwykle zalety, musi naturalnie zbiorek Nowickiego posiadać jakieś mniej lub więcej wybitne cechy, różniące go od całego szeregu innych utworów poświęconych Tatom. Jedną z głównych różnic jest to, że kiedy inni zajmują się przeważnie sobą w Tatrach, on zajmuje się przede wszystkim samymi Tatrami, jest bardziej obiektywnym. U Asnyka n. p. znajdziemy opisy okolic tatrzańskich zaledwie w dwu lub trzech utworach („Morskie Oko“, „Siklawa“, „Giewont“), w innych zaś jest albo filozoficzne roztrząsanie stosunku człowieka do przyrody („Wstęp“, „Noc pod Wysoką“) albo alegoryczne przedstawienie jakiegoś objawu społecznego, oparte

tylko nieznacznie pewnym szczegółem swym o góry („Limba“); u Konopnickiej, zgodnie z naturą jej talentu, krajobraz tatrzański ginie w potoku ogólnikowych zdań i wykrzykników; Tetmajer więcej dba o swą „błękitną tęsknotę“, idącą w ślad za nim po górach, niż o góry same; Kasprowicz na to tylko, jak się zdaje, pnie się na szczyty tatrzańskie, aby z tem większej wysokości módz spojrzeć na „tłum“, o którym niegdyś wyrażał się z taką miłością, i wołać:

Dla olbrzymów te szczyty, a dla karłów poziomy!
Gardźmy płazem, co nie śmie nawet spojrzeć w tę
[stronę!
W ten krąg złoty wpatrzeni, w znak sił naszych
[widomy,
Zakochajmy się w sobie! wszak jesteśmy, jak blaski
[wcielone!

Nowicki postępuje inaczej; i on nie wyrzeka się swej indywidualności i on pozwala czasami wybuchnąć swemu gorącemu uczuciu, ale nie daje mu nigdy ować nadążyć sobą — jest jego nie niewolnikiem, lecz panem, nie broniącym mu raz po raz wyrzecz z za krajobrazu, ale nie pozwalającym, aby ono ten krajobraz sobą przyćmiło lub zaślониło.

Jest przytem w tych obrazach jakaś dziwna siła, jakaś buńczuczność młodzieńcza, sprowadzająca często przesadę, ale wywołująca silne wrażenie — i to jest drugi rys charakterystyczny, różniący „Tatry“ Nowickiego od

innych opisów tatrzańskich. Dla przykładu zestawmy dwa utwory, opisujące Siklawę: Asnyka i Nowickiego. Asnyk tak zaczyna swój utwór:

Jakaż to prządka snuje białe nici,
Które wśród głazów migają tak żywo,
Że je z daleka ledwie wzrok pochwyci?
Jakaż to prządka rozpierzchłe przedziwo
Łowi po skałach strojnych w szarą pleśń?
I z drobnych nitek srebrną wstęgę prze-
I przez granitów przewiesza krawędzie, [dzie,
Nucać wieczyście jednobrzmiącą pieśń?

To wartki strumień szumiącej Siklawy
Zagarnia w koło śnieżne ścieki gór;
Na nie swą czarne nawiązuje stawy
I wiedzie głośny z kamieniami spór;
To potok wzbiera siatką wód pajęczą,
I coraz głębiej pierś wąwozu porze,
I znika w ciemnej gardzieli otworze,
Kończąc krajobraz wodospadu tęczę.

Skromny to potok. . i t. d.

A oto początek sonetu Nowickiego:

Przedemną rzeka śniegu lecąca pionowo,
Ze źródłem wydzwigniętem do nieba kra-
[wędzi,
Przedemną — pian lawina! puch szyi labędziej,
Roziskrzony na skałach wstęgą brylantową.

To Siklawo! — O dzika dzikich wód Królowo!
Biały rumak twój ze skał rozhukany pędzi,
Wspina się, gdy kopytom braknie skalnej pędzi,
I łbem śnieżnym zlatuje w otchłań granitową.

Siklawo! ty huk gromom wyrwawszy zu-
[chwale
Wiecznie w jedną głębinię staczasz się kipiącą,
Gdzie rozbijasz wyjące z rozpaczyswe fale itd.

To więc, co Asnyk nazywa „skromnym potokiem“, „białą nitką“, „siatką wód pajęczą“ — to Nowicki przedstawia jako „rzekę śniegu“ i „lawinę pian“, co jednemu wydaje się „nuceniem pieśni“, w tem słyszy drugi „huk gromów“ i „rozpaczliwe wycie“. Prawda, że słuszność jest po stronie Asnyka, że określenia Nowickiego należałoby odnieść raczej do Niagary niż do „skromnej“ Siklawy — ale trudno zaprzeczyć, że pomimo tego braku odpowiedniej miary, pomimo tej przesady w szczegółach jest obraz Nowickiego w ogólnych swych zarysach wierniejszy i czyni potężniejsze wrażenie.

To, co odróżnia utwory Nowickiego od utworów Asnyka i innych współczesnych poetów, to łączy go z Mickiewiczem — lub powiedzmy raczej: to zawdzięcza on głębokiemu przejęciu się „Sonetami krymskimi“ Mickiewicza. I Mickiewicz bowiem przesadzał znacznie opisując okolice Krymu a przesada w „Sonetach krymskich“ jest o tyle mniejszą niż w „Tatrach“, o ile szczyty tatrzańskie są wyższe i piękniejsze od krymskich.

Podobieństwo to nie jest przypadkowe, a sięga dalej jeszcze. Wiadomo, że Mickiewicz

pierwszy wcisnął w szczupłe ramy sonetu opisy przyrody i połączył je z wybuchami swej tęsknoty i żalu w cudowną całość i że wszystkie te obrazy spaja nie tylko naturalne ich następstwo w przestrzeni i czasie, lecz także logiczny rozwój uczuć i myśli poety. Otóż te same właściwości występują dosyć wyraźnie w „Tatrach“, a przedewszystkiem w pierwszej ich części, w „Obrazach pustyni“; nawet budowa składających się na tę część sonetów jest przejętą z „Sonetów krymskich“. Ucieknijmy się raz jeszcze do zestawienia i przypatrzmy się ostatniemu sześciowerszowi przytoczonego już powyżej obrazka p. t. „Siklawo“.

Siklawo! ty huk gromom wyrwawszy zuchwale
Wiecznie w jedną głębinę staczasz się kipiącą,
Gdzie rozbijasz wyjące z rozpaczny swe fale.

Tęsknoto! ty żrąc ogniem skradzionym u słońca,
Wiecznie strącasz łzy moje w jedną głęb bez końca,
Gdzie na nutę odwieczną serce płacze żale...

A oto sześciowersz, którym Mickiewicz zamyka obraz „ciszy morskiej“:

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi pośród złych losów i namiętnej burzy;
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

Jest to więc zupełnie ten sam sposób budowania sonetu; z opisu przyrody, podanego w pierwszych ośmiu wierszach, wyjmuje się jakiś charakterystyczny szczegół i zestawia się go z pewnym stanem swej duszy. A jednak pomimo całej tej analogii nie są „Tatry“ Nowickiego zwykłym naśladownictwem; młody poeta przelał w ten utwór tyle swej gorącej, wrażliwej duszy i tyle prawdziwego talentu, że pomimo zapożyczonych od największego naszego wieszczki formy stworzył dzieło oryginalne, jak oryginalnymi są n. p. „Konrad Wallenrod“ lub „Marya“, chociaż okrywa je byronowska szata.

Wglądnijmy teraz w treść dziełka, a raczej przeglądnijmy choćby tylko najważniejsze obrazy, jakie poeta przed nami roztacza. Oto n. p. sonet wstępny:

W dali... jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków,
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy.

Wielki, jak sny młodości, mroźny kraj śniegowy,
Gdzie król burz, halny orkan, błądzi w czasie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

Obraz łańcucha tatrzańskiego skreślony
jest z siłą i plastyką — ale co znaczy ta koń-
cowa wzmianka o „ołtarzach swobody“? Przy-
równanie Tatr do „zakamieniałego hufu kre-
sowego“ kazałoby się domyślać aluzji poli-
tycznej — ale autor mówi wyraźnie o „swo-
bodzie“, nie o „wolności“ — i słusznie, bo
wszakże w Tatrach są stosunki polityczne
takie same, jak w reszcie kraju. Czy to jednak
jest wzmianka rzucona mimochodem, czy też
ma jakieś głębsze znaczenie, jakby progra-
mowe? Może nam to objaśni śliczny sonet,
zamykający pierwszą część zbiorku, a noszący
napis „Towarzyszowi podróży“:

Wzdłuż, w szerz Tatry przebiegłem — on wszędzie
[u boku!

Uciekałem przez lasy, hale i doliny,
Przez pochmurne skał czoła, przez jezior głębiny,
Daremnie!... on mi wszędzie dotrzymywał kroku!

Skakał za mną, przez jary, przez grzbiety potoku,
Śniegi czernił swym cieniem, mglił widok z wyżyny,
Przy świetle gwiazd i ognia liczył mi godziny,
Świt płonący na górach ściemniał memu oku.

Rozpacz gnała mię w paszczę burzy rozszalałej,
Gdzie żąb gromu druzgotał granitowe wały,
Gdzie grad kamienny huczał — on... szedł za mną
[śmiały!

W ciszy pustyń, w burz ryku, w jasny dzień, w noc
[ciemną,
Wszędzie zawsze biegł za mną — pierzchałem daremno!
Dziś wracam znów do ludzi — on, mój ból, znów
[ze mną...

A więc to jakiś ból głęboki, jakaś rozpacz
kazała poecie uciekać w Tatry i tam
szukać ulgi i zapomnienia — ale szukał jej
daremnie, bo ten ból ściga go wszędzie i chyba
tylko „sen tatrzański“ ukołysał na chwilę jego
myśli i unosił ze sobą

Po tej pięknej i wolnej od troski krainie,
Dziś daleko odemnie ten kraj bez boleści!
Czasem tylko, gdy oczy ściemniają żalobą,
Wspomnę sen, który wiódł mnie w Kościelisk dolinie!

Boleść to musiała być potężna, kiedy
poeta jedyne porównanie dla niej znajduje
w „wietrze halnym“, tym „królu wichrów“,
który

Gdzie tchnął — śmierć tam zostawił, gdzie przeszedł —
[zwaliska...
A huczał... jak ta burza bez świadków, nazwiska,
Burza, co na pierś młodą głaz zawodu ciska...

Aż wreszcie przy opisie „mgły na szczytach“
wyjaśnia nam poeta przyczyny tej swojej
zagadkowej boleści. Stoi na szczycie góry,
otoczony ze wszystkich stron falami mgły,
które podnoszą się ku niemu w kształcie muru

a za chwilę rozpraszają się pod lekkim powiewem wiatru i na ten widok woła:

Mgły! was lekki wiatr spędzi, gór szczyty odsłoni,
Tam, w dole, jakaż burza przejść musi szalona,
Zanim ćmiące mgły z czoła ludzkości rozgoni?

Teraz wyjaśnia nam się znaczenie owych „swobody ołtarzy“, o których była wzmianka we wstępnym sonecie. Poeta widział, że „tyrania pół świata pogrąża w bagnie podłości i niedoli czarnej“, patrzył z boleścią na smutny los „helotów swego narodu“, na ten nieszczęśny „tłum bezimienny, odarty i głodny“, więc chciał potęgą swego gorącego uczucia przyjść mu w pomoc i przybliżyć dzień, w którym „naród z myśli i z rąk pęta zrzuci“ — ale zawiódł się, spostrzegł, że siły jego zbyt są małe, a „ludzkość sobkowska i chłodna“ zachowuje się obojętnie, chce więc pozbyć się przynajmniej dręczącego go widoku i ucieka przed nim tam, gdzie jedynie są jeszcze „swobody ołtarze“, w bezludne urwiska tatrzańskie. Ale łatwiej stracić coś z oczu niż z pamięci; „szczęście marą nie byłoby złudną, gdybyśmy mogli, jak milczeć, zapomnieć“ — więc i on zapomnieć nie mógł, ból towarzyszył mu wszędzie i w martwej pustyni górskiej wskazywał mu jakby odbicie tego widoku, przed którym uciekał z pośród ludzi. Oto świerk, rzucony przez los na „nieczułą i twardą skałę“, oto-

czony śniegami i zwałiskami skał, od ćwierć wieku prowadzi już rozpaczliwy bój o nędzne swe życie. Ale „tytany gór“ patrzą na niego z pogardą i gniewem, bo on chce pośród ich martwych ogromów wszczepiać życie i śmiało dąży ku słońcu, a chociaż wobec nich jest ledwie pyłkiem, nie uniża przed nimi hardej głowy. Trzeba go więc ukarać!

Darmo zimny głaz tuli w korzeni ramiona
I czepia się z rozpaczą piersi skał świerk młody —
Gniewne góry wód orkan cisnęły nań z łona.

Bój zaciekły, lecz krótki, z paszczą wściekłej wody —
Trzasnął świerk... upadł... fala go zmiata śpioniona...
I drzemie znowu pusty nekropol przyrody.

Czyż taka „tragedya pustyni“ nie przypomina żywo tragedyi, rozgrywających się między ludźmi? A więc i tu, w tych dzikich pustkowiach panuje brutalna przemoc, uniemożliwiająca każde dążenie ku światłu, ku życiu? Ale i tu jest pociecha, bo oto oprócz hardych świerków pną się w górę ku granitowym szczytom całe legiony skromnych, lecz wytrwałych kosówek, a chociaż góry druzgocą je głazami i lawinami, one nie ustępują i taką odpowiedź szumią swym prześladowcom:

Wy granitu ogromy, zwietrzałe kolosy!
Ciskajcie na nas złomy, falę wód zhukaną,
Zasypujcie śniegami — my idziemy ścianą
Na was, zwolna lecz ciągle, za nic ważąc ciosy.

Gdy my legniem w tym boju, tłum nizki i podły,
Z naszych prochów się zrodzą większych synów szyki,
Wielkie lasy — i będą nasz bój dalej wiodły.

I gryźć będą korzeniem waszych łon tajniki,
I szturmować wam szczyty pod naszemi godły,
Aż pogrzebią was, trupie przeszłości pomniki!

Zanim jednak ta groźba się spełni, życie
płynie zwykłym swym trybem, kryjąc w so-
bie niejedną tragedję. Tu słyhać straszny
krzyk orlicy, która przybywszy ostatkiem sił
z żerem dla swych młodych do gniazda, za-
stała je zdruzgotane przez piorun; tam rozlega
się żałosny jęk kozicy, schwytanej w żelazną
samołówkę — stado jej rodzinne ucieka swo-
bodnie w dalekie skały, a ona, z łańcuchem
u nogi, spostrzega nagle wychylającą się ku
niej groźnie twarz największego swego wroga,
człowieka. I człowiek jednak nie zawsze jest
tu godzien zazdrości. Oto po grani, „gdzie
błądzi tylko stopa wiatru lotna“, wspina się
góral ku szarotce, błyszczącej wśród turni jak
„zmarzła gwiazda“. Droga to ptasia, bezpo-
wrotna prawie — więc dlaczego ten człowiek
naraża swe życie dla drobnej roślinki?

On grosz za nią dostanie!... Trwożnym ruchem kota
Wspiął się... zwisnął w powietrzu... kładzie rękę

[na niej...]

Zerwał!... zamknął nad kwiatem ręce, śmierci wrota.

Czemuż nagle zbladł patrząc zejścia w dół go grani?
Ha!... nie można zejść na dół nie zbywszy żywota!
Odwróć oczy... rozegra się dramat otchłani...

Cóż dziwnego, że patrząc na to wszystko poeta nie mógł uciec przed gnębiącym go bólem i tak głęboko odczuł swe zawody, że nawet Dunajec chciałby przestrzedz przed nimi:

Gdzie tak pędzisz gór synu? co ścigasz za młodu?
Czy ci źle u twej skalnej piersi macierzystej?
Nie wrócisz! tam zabłądzisz w bagniska bez brodu!

Gdzie gonisz młoda myśli po drodze gwiazdzistej?
Bramą marzeń wylatasz za świat rzeczywisty,
Wrócisz... ach!... bez piór... cicha.. i bramą zawodu..

Jest zatem w „Tatrach“ myśl przewodnia, a raczej jedno silne uczucie, które rozerwane i z natury rzeczy luźne obrazki łączy w całość i zwiększa ich wartość, bo wrażenia artystyczne autora wiąże z ważnymi zagadnieniami naszego bytu narodowego i społecznego. W jednym tylko sonecie („Echa górskie“) autor traci z oczu ten szerszy horyzont i wspomina o sobie samym, o „kobiecie głuchej jak niebiosy“, za którą „nie jęczał, lecz wył“ nie wzbudzając jednak współczucia u nikogo — i ten ustęp brzmi jak dyssonans w dziełku, narusza bowiem jego harmonię.

Poeta umiał szczęśliwie uniknąć monotonności, któraby powstała, gdyby każdy wiersz i każdy obraz przypominać miał czytelnikowi ciągle ten sam objaw życia społecznego i nie pozwolił mu chwilami swobodnie odetchnąć. To też jest cały szereg sonetów, w których

żadna aluzja nie mąci opisu przyrody, gdzie czytelnik może zapomnieć o uczuciu, które poecie towarzyszy w wędrówce po Tatrach, a zająć się Tatrami samymi. Oto n. p. opis „Zmarzłego Stawu pod Zawratem“.

Skalny kocioł!... dno jego lód ze śniegiem ścieli,
Czarne, lysy urwiska tego kotła ściany;
To piekło zamrożone!... pierzchły zeń szatany
I zamarzły skał rzędem dokoła gardzieli.

Szyba lodu odemnie otchłani stawu dzieli.
Czarny otwór we środku... tam lód roztajany —
Chciałem zajrzeć... zawracam błądy, zadumany,
Śmierć tam na mnie spojrzała oczyma topieli

Wzrok ucieka nad krańce tej natury zmarłej:
Tam, prosto z nieba biała zlatuje drożyna,
Z obu stron ją opoki wąwozem zaparły.

Czy tą ścieżką śniegową wiatr-śmiełek się wspina
Na te skalne kolumny, co łuk nieba wsparły?
To Zawrat... nas powiedzie ta biała ścieżyna...

W sonecie tym uderza przede wszystkim wielka plastyka i tak śmiałe przenośnie, jak „zamrożone piekło“, „szatany zamarzłe skał rzędem“ lub „zmarła natura“. Idźmy teraz za poetą „tą białą ścieżyną“, a obraz, który on przed nami odkryje ze szczytu, będzie miał nieco inny charakter:

Stałem na przełęczy... świat czarów przedemną!
Wzrok zdumiony weń topię, podziw duszę tłoczy...

Dołem -- stawy czernieją, jak piór pawich oczy,
W górze — pieśń!... ale myślą stworzona nadzieją.

Pieśń runami granitów pisana przedemną,
Skamieniały sen Stwórcy, dumny sen, uroczy!
Tam ku krańcom pustyni gwiazda dnia się toczy,
Płoną szczyty — tam z głębin wstaje wieczór ciemno.

Siadłem; cisza na górach — oko stawów drzymie;
Patrzę w Tatry, w te runy przedwiecznej zagadki,
Chciałbym przejrzeć, przeniknąć jej myśli olbrzymie.

Wiatr-bajarz lekkim palcem strunę marzeń trąca,
Zwolna uchodzą z serca goryczy ostatki,
O! tu siedzieć i słuchać i dumać bez końca!

Godnem też uwagi jest to, że poeta przy
dosyć znacznej jednostajności i szczupłości
motywów nie powtarza się, wynajduje coraz
to nowe punkty widzenia i w ten sposób daje
swym opisom wiele różnorodności. Wystarczy
porównać w tym celu opisy dwóch „zmarzłych
stawów“, pod Zawratem i pod Garłuchem lub
chociażby zestawzić z przytoczonymi powyżej
sonet p. t. „Rysy“:

Patrzę... tam roztopione szarych mas bałwany,
Zapędzone ku gwiazdom w burzliwym pochodzie,
Gdy Bóg: stań się! powiedział przy świata porodzie,
Ścięte zimy oddechem stanęły jak ściany.

Grzywą śniegów zastygły na ich karkach piany,
Lód ich gardła płomienne zamroził na spodzie,
Słońce o nie potrąca przy dziennym obchodzie:
To młodość świata skrzepla! królestwo Marzany!

Całe życie się zbiegło w mem oku zdumiałem :
Tam — chmur morze, tam dalej... orły? nie, kozice!
Tam step śniegu bieleje między turni wałem.

Tam w powiekach skał jezior czernieją źrenice
I rząd grzbietów obrosłych zimy runem białem,
Wielkoludów — z dum górskich — skamieniałe lice!

Łatwo poznać różnicę, jaka zachodzi w sposobie ujęcia i pojęcia tych dwu obrazów: pierwszy przedstawia nam widok z Zawratu tak, jak go poeta obserwuje, szczegół po szczególe, drugi traktuje rzecz genetycznie, odtwarzając to, co jest, zapomocą przesuwania przed oczy czytelnika różnych faz powstawania tej części natury. Każdy przedstawia rzecz równie dobitnie i plastycznie, a przecież inaczej. A jaka w nich jędrność i siła wyrażen — n. p. kiedy poeta określa roztaczający się przed nim widok, jako „skamieniały dumny i uroczy sen Stwórcy“, lub kiedy zwinność kozic przedstawia zapomocą jednego zapytania, jednego tylko zestawienia: „tam dalej... orły? nie, kozice“.

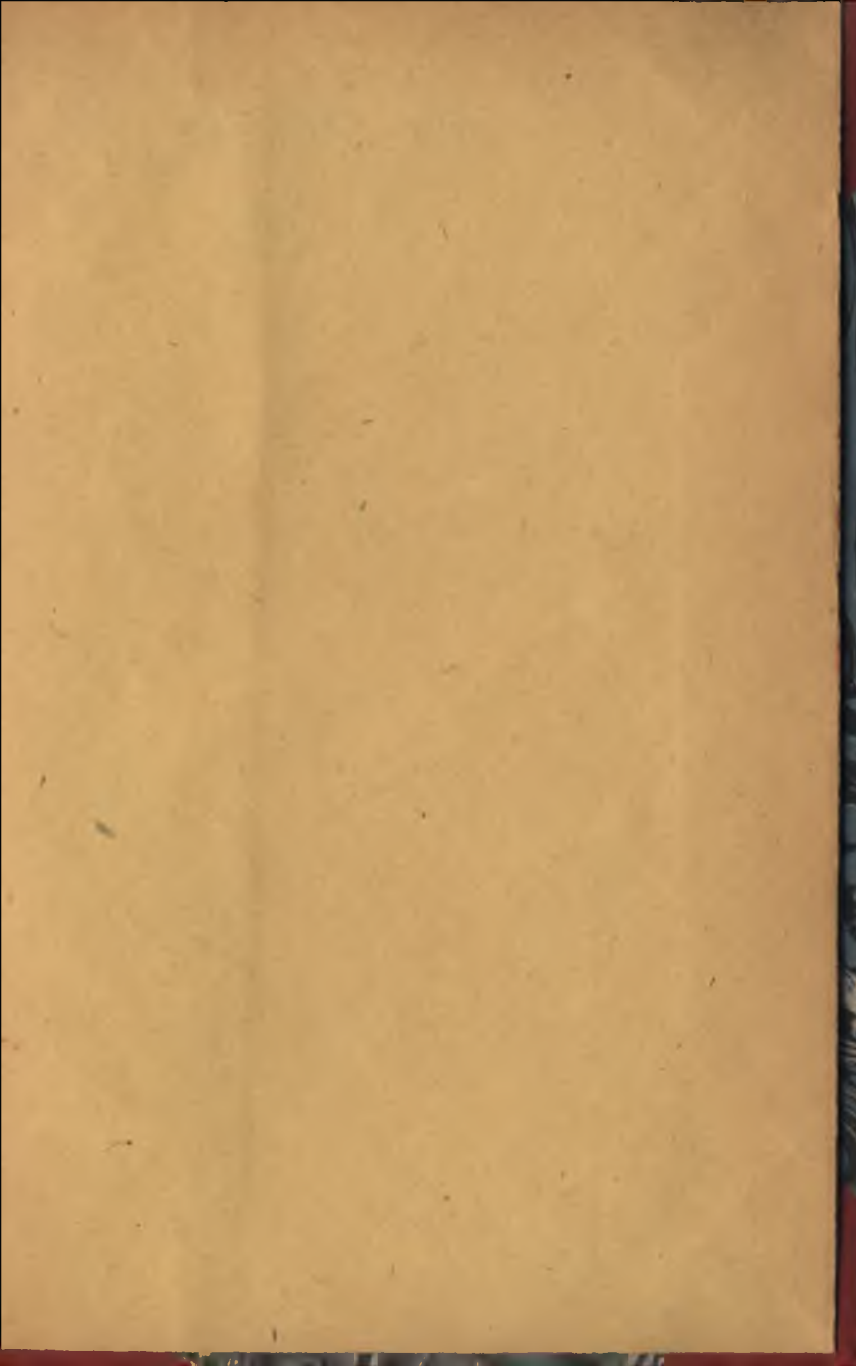
Poglądy społeczne, usunięcie własnego „ja“ na plan drugi a postawienie na pierwszym idei, której oddaje się w służbę — to wszystko łączy Nowickiego bardzo wyraźnie z Niemojewskim. Wspólność ich poglądów wystąpiłaby naturalnie wyraźniej, gdybyśmy z „Polonią Irredentą“ n. p. zestawili nie „Tatry“, ale „Pieśni czasu“ — i w „Tatrach“ jednak, jak

to starałem się wykazać, można tę tendencję społeczną wysledzić. Ale poza wspólnością tendencji różni autora „Tatr“ i autora „Polonii“ forma ich utworów, bo Niemojewski, nawet w ostatnich swych poezjach, o wiele doskonalszych niż pierwsze, nie jest ani w części takim artystą, jak Nowicki.

Wszystko to sprawia, że „Tatry“ Nowickiego zajmują w ogromnym szeregu utworów „Młodej Polski“ stanowisko nie tylko wybitne i zaszczytne, ale powiedziałbym, pod pewnym względem wyjątkowe. Wyjątkowe — bo trudno by było znaleźć drugi utwór współczesnego poety napisany z taką siłą wyrażeń, taką plastyką i taką niezwykłą jędrnością języka, którą przy znanej gadatliwości obecnego pokolenia Apolinowego tem bardziej trzeba podnieść. A przymioty to tak znaczne, że pomimo panującej w naszej literaturze prawdziwej sonetomanii, w dziale sonetów opisowych należy im się miejsce po „Krymskich“ Mickiewicza, których są oddźwiękiem i „wojennych“ Garczyńskiego, a obok wspaniałych cyklów sonetowych Asnyka.

Miejmy nadzieję, że autor „Tatr“, od lat kilkunastu milczący uporczywie, przerwie to swoje milczenie i da nam jeszcze utwór, który imię jego zapisze trwałymi głoskami na kartach naszej literatury.





No. 10050

at 30'-



NIE POŻYCZA SIĘ
DO DOMU

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku

26909



26909